

Antologia SF

Bułyeczow Kirył

Książka XIX z Stało się jutro



calibre 0.9.43

STAŁO SIĘ JUTRO

(zbiór dziewiętnasty)

SCAN-dal.prv.pl

KIRYŁ BUŁYCZOW

ŚNIEŻKA

Tylko raz widziałem, jak ginie statek. Inni nigdy tego nie widzieli.

Nie jest to straszne, gdyż człowiek nie ma czasu przenieść się myślami na jego pokład i odbierać wszystko tak, jakby katastrofa przytrafiła się jemu. Patrzyliśmy z mostka, jak próbowali wylądować na planetce. Wydawało się, że już się im to udaje. Szybkość była jednak zbyt duża. Ich statek dotknął dna pochyłej rozpadliny, lecz zamiast znieruchomieć nadal sunął przed siebie, jakby zamierzał schować się we wnętrzu kamienia. Ale kamienne koryto wcale nie zamierzało poddać się metalowi i statek zaczął się rozlewać niczym kropla wody, która spadła na szkło. Ruch jego stawał się coraz wolniejszy; drobnymi bryzgami i bezdźwięcznie jakieś jego części oddzielały się od podstawowej masy statku i czarnymi kropelkami wlatywały nad dolinę, szukając miejsc nadających się na to, by mogły opaść i znieruchomieć. A potem ten nieskończony, trwający około minuty, ruch ustał.

Statek był martwy. Dopiero teraz, z opóźnieniem, moja świadomość zrekonstruowała gruchot pękających przepierzeń, jęki pękającego metalu, wycie uciekającego powietrza kryształkami osiadającego na ścianach. Żywe istoty, które tam były, na pewno zdążyły usłyszeć jedynie początek tych dźwięków.

Na ekranie widniało wielokrotnie powiększone pęknięte czarne jajko otoczone potokami zamrożonego białka. - Po wszystkim - powiedział ktoś.

Odebraliśmy ich wołanie o pomoc i podążyliśmy na ratunek. I ujrzeliśmy zagładę statku.

Z bliska, kiedy spuściliśmy kuter i dotarliśmy do doliny, wszystko to, co widzieliśmy,

nabrało właściwych rozmiarów i odpowiedniej tragiczności, wywodzącej się stąd, że człowiek mógł przymierzyć to, co się stało, do siebie: Czarne kropki przekształciły się w kawałki metali o wymiarach boiska do siatkówki, części silników, dysze i fragmenty kolumn hamulców - w połamane zabawki giganta. Miało się wrażenie, że kiedy statek, roztrzaskując się, wciskał się w skały, ktoś wsadził w jego wnętrze rękę i wypatroszył go. W odległości pięćdziesięciu metrów od statku znaleźliśmy dziewczynę. Była w skafandrze - wszyscy oni, poza kapitanem i wachtowymi, zdążyli włożyć skafandry. Widać znalazła się w pobliżu luku, który wyleciał przy uderzeniu. Wyrzuciło, ją ze statku tak, jak wylatuje ze szklanki z narzanem bańka powietrza. To, że pozostała przy życiu, należy zaliczyć do owych fantastycznych przypadków, które powtarzają się nieustannie od chwili, kiedy człowiek po raz pierwszy uniósł się w powietrze. Ludzie wypadali z samolotów na wysokości pięciu kilometrów i jakimś cudem spadali na bardzo strome zaśnieżone zbocze czy też wierzchołki sosen, wykręcając się zadrapaniami i siniakami. Przenieśliśmy ją na kuter. Była w szoku, ale doktor Striesznyj nie pozwolił mi zdjąć jej hełmu, choć każdy z nas rozumiał, że jeśli nie udzielimy jej pomocy, może umrzeć. Doktor miał rację. Nie znaliśmy składu ich atmosfery i nie wiedzieliśmy, jakie śmiertelne dla nas, a nieszkodliwe dla niej wirusy żyją sobie na jej białych, błyszczących, krótko ostrzyżonych włosach.

Teraz wypada powiedzieć, jak wyglądała ta dziewczyna i dlaczego obawy doktora wydały się mnie, i nie tylko mnie, przesadzone, a nawet niepoważne. Przyzwyczailiśmy się wiązać niebezpieczeństwo z istotami nieprzyjemnymi dla naszego oka. Jeszcze w dwudziestym wieku pewien psycholog twierdził, że dysponuje niezawodnym testem dla kosmonauty lecącego ku odległym planetom. Trzeba tylko zapytać go, co zrobi, jeśli spotka się z sześciometrowym pająkiem o odrażającym wyglądzie. Pierwszą instynktowną reakcją badanego było wyciągnięcie blastera i władowanie w pająka całego magazynka. A przecież pająk mógł się okazać spacerującym samotnie miejscowym poetą, pełniącym obowiązki stałego sekretarza dobrowolnego towarzystwa

ochrony drobnych ptaków i pasikoników.

Oczekiwać podstępu ze strony delikatnej dziewczyny, której długie rzęsy rzucały cień na blade policzki, której twarz wywoływała pragnienie, by ujrzeć, jakiego koloru są jej oczy, oczekiwać podstępu ze strony tej dziewczyny, nawet w postaci wirusów, było jakoś nie po męsku.

Nikt tego nie powiedział, ja też, ale miałem wrażenie, że doktor Striesznyj czuł się jak drobny łajdak, biurokrata, który w imię litery instrukcji zadaje ból bezbronnemu gościowi.

Nie widziałem, jak sterylizował najcieńsze igły, by wprowadzić je do wnętrza skafandra i pobrać próbki powietrza. Nie wiedziałem też, jakie są wyniki jego prac, gdyż znów ruszyliśmy w stronę statku z zamiarem dostania się do jego wnętrza i odnalezienia jeszcze jakiegoś ocalałego członka załogi. Było to bezmyślne zajęcie - jedno z tych bezmyślnych zajęć, których nie można zaniechać nie doprowadziwszy ich do końca.

- Niedobrze - powiedział doktor. Usłyszeliśmy jego słowa w chwili, gdy usiłowaliśmy dostać się do wnętrza statku. Nie było to łatwe, gdyż niczym packa nad muchami wisiała nad nami jego zgnieciona ściana.

- Co z nią? - zapytałem,

- Jeszcze żyje - odpowiedział doktor. - Ale my nie jesteśmy w stanie jej pomóc. To Śnieżka.

Nasz doktor ma skłonność do poetyckich porównań, których przejrzystość nie zawsze jest zrozumiała dla nie wtajemniczonych.

- Przyzwyczailiśmy się - kontynuował doktor i chociaż głos jego dźwięczał w moich słuchawkach tak, jakby zwracał się do mnie, wiedziałem, że mówi przede wszystkim do otaczających go w kajucie kutra osób. - Przyzwyczailiśmy się uważać, że podstawę wszelkiego życia stanowi woda.

U niej tę podstawę stanowi amoniak.

Znaczenie jego słów dotarło do mnie nie od razu. Do pozostałych również.

- Przy ziemskim ciśnieniu - powiedział doktor - amoniak kipi przy minus 33, a zamarza przy minus 78 stopniach.

I wtedy wszystko stało się jasne.

Ponieważ w nauszniakach panowała cisza, wyobraziłem sobie, w jaki sposób patrzą na dziewczynę, która stała się dla nich fantomem. Gdy tylko zdejmuje się mu hełm, może przekształcić się w obłok pary.

Szturman Bauer myślał na głos w nieodpowiedniej chwili popisując się erudycją.

- Coś takiego przewidziano teoretycznie. Ciężar atomowy molekuly amoniaku wynosi 17, wody - 18. Pojemność cieplną mają prawie jednakową. Amoniak równie łatwo jak woda traci jon wodoru. W ogóle to uniwersalny rozpuszczalnik.

Zawsze zazdrościłem ludziom, którzy nie muszą sięgać po informator, by odnaleźć w nim informacje, które nigdy się nie przydają. Prawie nigdy.

- Ale w niskich temperaturach amoniakowe białka będą zbyt stabilne - zaproponował doktor, jakby dziewczyna była jedynie konstrukcją teoretyczną, modelem zrodzonym przez fantazję Gleba Bauera.

Nikt nie odezwał się słowem.

Półtorej godziny przedzieraliśmy się przez oddziały roztrzaskanego statku, zanim znaleźliśmy nie uszkodzone butle z amoniakiem. Było to znacznie mniejszym cudem niż to, co wydarzyło się wcześniej.

Zaszedłem do szpitala, jak zawsze, zaraz po wachcie.

W szpitalu pachniało amoniakiem. W ogóle cały nasz statek przesiąknął zapachem amoniaku. Walka z jego ulatnianiem się nie miała jednak sensu.

Doktor pokasływał sucho. Siedział przed długim rzędem probówek i butli. Z niektórych z nich wychodziły węże gumowe i rury ginące za przepierzeniem. Nad iluminatorem czerniało

niewielkie jajowate kółko głośnika.

- Śpi? - zapytałem.

- Nie, już pytała, gdzie jesteś - odpowiedział doktor. Głos jego był głuchy i zrzędlawy. Dolną część jego twarzy przykrywał filtr. Doktor musiał każdego dnia rozwiązywać kilka nierozwiązalnych problemów związanych z karmieniem, leczeniem i psychoterapią jego pacjentki i zrzędlawość jego pogłębiała przepelniająca go duma, gdyż lecieliśmy już trzeci tydzień, a Snieżka była zdrowa. Tyle tylko, że przeraźliwie się nudziła.

Poczułem pieczenie w oczach. Drapało w gardle. Mogłem sobie obmyślić jakiś filtr, ale wydawało mi się, że ujawniłbym w ten sposób swe obrzydzenie. Na miejscu Śnieżki nie byłoby mi przyjemnie, gdyby moi gospodarze zbliżając się do mnie wkładali maski przeciwgazowe.

Twarz Śnieżki niczym stary portret w owalnej ramie widniała w iluminatorze.

- Fitaj - powiedziała.

Potem szczęknęła translatozem, gdyż wyczerpała prawie cały zapas słów, jakim dysponowała. Wiedziała, że niekiedy pragnę usłyszeć jej głos, jej prawdziwy głos, i przed włączeniem translatora mówiła do mnie kilka słów.

- Co robisz? - zapytałem.

Dźwiękowa izolacja nie była pełna i usłyszałem, jak za przegrodką rozległ się świergot. Jej usta poruszyły się i translator odpowiedział mi z opóźnieniem kilku sekund, w czasie których mogłem się napawać widokiem jej twarzy i ruchem jej źrenic zmieniających barwę jak morze w wietrzny, pochmurny dzień.

- Przypominam sobie to, czego uczyła mnie mama odpowiedziała chłodnym i obojętnym głosem translatora. Nigdy nie myślałam, że będę musiała sama przygotowywać sobie posiłki. Sądziłam, że mama jest dziwaczką, ale teraz to wszystko się przydaje.

Roześmiała się, nim jeszcze translator zdążył przetłumaczyć jej słowa.

- Poza tym uczyć się czytać - powiedziała.

- Wiem. Pamiętasz literę "y"?

- To bardzo śmieszna litera. Ale jeszcze śmieszniejszą literą jest "f". Wiesz, połamalam jedną książkę.

Doktor podniósł głowę, odwracając się od strumyka śmierdzącej pary wydobywającej się z próbówki, i powiedział:

- Mogłem pomyśleć chwilę przed daniem jej książki. Plastik kartek w temperaturze minus pięćdziesięciu stopni staje się kruchy:

- No i rozkruszył się - powiedziała Śnieżka.

Kiedy doktor wyszedł, po prostu staliśmy naprzeciw siebie. Gdy się dotknęło szkła, było ono chłodne. Jej natomiast wydawało się prawie gorące. Mieliśmy czterdzieści minut do powrotu Bauera,

który przytaszczy dyktafon i zacznie męczyć Śnieżkę niezliczonymi pytaniami. A jak u was to? A jak u was tamto? A jak przebiega w waszych warunkach taka a taka reakcja?

Śnieżka przedrzeźniała Bauera i skarżyła mi się: "Przecież ja nie jestem biologiem. Mogę mu nakłamać i będzie wstyd". Przynosiłem jej widokówki i fotografie ludzi, miast oraz roślin. Śmiała się, wypytywała o detale, które mnie wydawały się nieistotne, a nawet niepotrzebne, a potem nagle przestawała pytać i patrzyła jakby przeze mnie.

- Co z tobą?

- Nudzę się. I boję.

- Przecież bezwarunkowo dowieziemy cię do domu.

- Nie dlatego się boję.

A tego dnia zapytała mnie:

- Masz podobiznę dziewczyny?

- Jakiej? - zapytałem.

- Tej, która czeka na ciebie w domu.

- Nikt na mnie nie czeka w domu.

- Nieprawda - powiedziała Śnieżka. Potrafiła być strasznie kategoryczna. Zwłaszcza wtedy gdy w coś nie wierzyła. Na przykład nie uwierzyła w istnienie róż.

- Dlaczego mi nie wierzysz? Śnieżka nie odpowiedziała.

... Obłok płynący nad morzem przesłonił słońce i fale zmieniły barwę - stały się chłodne i szare, tylko przy brzegu woda miała zielonkawy odcień. Śnieżka nie potrafiła ukryć swych nastrojów i myśli. Kiedy było jej dobrze, oczy miała niebieskie, nawet fioletowe. Ale natychmiast blakły, szarzały, kiedy było jej smutno, i stawały się zielone, kiedy się złościła. Nie powinienem był zobaczyć jej oczu. Kiedy je otworzyła po raz pierwszy na pokładzie naszego statku, odczuwała ból. Oczy były. czarne, bezdenne, a my w żaden sposób nie mogliśmy jej pomóc przed zakończeniem przebudowy laboratorium. Śpieszyliśmy się tak, jakby statek w każdej chwili miał eksplodować, a ona milczała.

Dopiero po trzech godzinach mogliśmy przenieść ją do laboratorium, gdzie został doktor, który pomógł jej w zdjęciu hełmu.

Następnego dnia jej oczy błyszczały przezroczystym, liliowym zaciekawieniem i tylko ciut pociemniały, kiedy napotkały mój wzrok...

Wszedł Bauer. Pojawił się wcześniej niż zwykle i był z tego bardzo zadowolony. Śnieżka uśmiechnęła się do niego i powiedziała:

- Akwarium do pańskich usług.

- Nie rozumiałem, Śnieżko - odparł Bauer. - A w akwarium doświadczalny mięczak.

- Powiedziałbym raczej - złota rybka - Bauera nie tak łatwo zbić z tropu.

Śnieżka coraz częściej była w złym nastroju. Ale cóż się dziwić, skoro całe tygodnie spędzała w pomieszczeniu o wymiarach dwa na trzy metry. Porównanie z akwarium było dobre.

- Idę - powiedziałem, ale Śnieżka nie odpowiedziała jak zwykle: "Przychodź jak najszybciej".

Jej szare oczy ze smutkiem patrzyły na Gleba, jakby ten był dentystą. Spróbowałem przeanalizować swój stan i zrozumiałem, że jest on sprzeczny z naturą. Z równym powodzeniem mogłem się zakochać w portrecie Marii Stuart czy też w statuetce Nefretete. A może było to współczucie dla samotnej istoty, za której życie odpowiedzialność w zadziwiający sposób zmieniła i złagodziła stosunki między nami, członkami załogi? Śnieżka przyniosła do nas coś dobrego, zmuszającego wszystkich do mimowolnego doskonalenia się, stawania się szlachetniejszymi i lepszymi niż przed pierwszym spotkaniem. Oczywista beznadziejność mojej namiętności rodziła w sercach otaczających mnie ludzi coś pośredniego pomiędzy współczuciem a zawiścią, choć uczuć tych, jak wiadomo, nie da się ze sobą pogodzić. Czasami pragnąłem, żeby ktoś zażartował sobie ze mnie, uśmiechnął się, bym mógł wybuchnąć, wstawić się i w ogóle zacząć zachowywać się gorzej od innych. Ale nikt sobie na to nie pozwalał. W oczach swych towarzyszy byłem szczęśliwie chory, a to różniło mnie i oddalało od innych.

Wieczorem doktor Striesznyj wywołał mnie przez głośnik i powiedział:

- Śnieżka cię wzywa.

- Stało się coś?

- Nic się nie stało. Nie denerwuj się.

Pobiegłem do szpitala. Śnieżka czekała na mnie przy iluminatorze.

- Wybacz - powiedziała - ale nagle pomyślałam sobie, że jeśli umrę, to nie zobaczę cię już więcej.

- Bzdury - mruknął doktor.

Mimo woli spojrzałem na tarcze przyrządów.

- Posiedź ze mną - powiedziała Śnieżka.

Doktor wkrótce wyszedł, wymyśliwszy sobie jakiś pretekst.

- Chcę cię dotknąć - powiedziała Śnieżka.
- To niesprawiedliwe, że nie można cię dotknąć tak, by się przy tym nie poparzyć.
- Mnie jest łatwiej - powiedziałem. - Ja co najwyżej odmrozę sobie coś.
- Szybko dolecimy? - zapytała Śnieżka.
- Tak - odpowiedziałem. - Za cztery dni.
- Nie chcę lecieć do domu - oznajmiła - bo dopóki jestem tu, mogę sobie wyobrazić, że cię dotykam. A tam ciebie nie będzie. Połóż dłoń na szkle.

Usłuchałem jej.

Śnieżka oparła głowę o szkło, a ja wyobraziłem sobie, że moje palce przenikają przez przezroczystą masę i spoczywają na jej głowie.

- Nie odmroziłem sobie ręki?

Śnieżka podniosła głowę i wysiliła się na uśmiech.

- Musimy znaleźć neutralną planetę - powiedziałem.

- Jaką?

- Neutralną. Taką, na której byłoby zawsze minus czterdzieści stopni.

- To zbyt gorąco.

- Minus czterdzieści pięć. Wytrzymasz?

- Oczywiście - odpowiedziała Śnieżka.

- Ale czyż będziemy mogli żyć razem, jeśli zawsze trzeba będzie tylko cierpieć?

- Żartowałem.

- Wiem, że żartowałeś.

- Nie będę mógł pisać do ciebie listów. Potrzebny byłby specjalny papier, taki, który by nie parował. A poza tym ten zapach amoniaku...

- A czym pachnie woda? Nie ma dla ciebie żadnego zapachu? - zapytała.

- Żadnego.

- Jesteś zdumiewająco niepojętny. - No i poprawił ci się humor.

- Czy pokochałabym cię, gdybyśmy byli jednej krwi?

- Nie wiem. Ja najpierw cię pokochałem, a dopiero później dowiedziałem się, że nigdy nie będę mógł być z tobą.

Ostatniego dnia Śnieżka była nerwowa i choć mówiła do mnie, że nie wyobraża sobie, jak rozstanie się z nami, ze mną, błędziła myślami gdzieś daleko. Kiedy pakowałem w laboratorium rzeczy, które miała zabrać ze sobą, przyznała mi się, że najbardziej boi się tego, że nie doleci do domu. Była już tam i wędrowała między mną, który tu zostawał, a swym światem, który na nią czekał.

Obok nas już od pół godziny leciał ich statek patrolowy i na mostku kapitańskim bez chwili wytchnienia trzeszczał translator z trudem radzący sobie z przekładem. Do laboratorium przyszedł Bauer i powiedział, że lądujemy na terenie kosmoportu. Spróbował przeczytać zapisaną nazwę. Śnieżka poprawiła go jakby mimochodem i natychmiast zapytała, czy dobrze sprawdził jej skafander.

- Zaraz go sprawdzę - odpowiedział Gleb. - Czego się boisz? Przecież będziesz miała do przejścia wszystkiego trzydzieści kroków.

- I chcę je przejść - powiedziała nie rozumiejąc, że obraziła Gleba.

- Sprawdź jeszcze raz - poprosiła mnie.

- Dobrze - odpowiedziałem.

Gleb wzruszył ramionami i wyszedł. Po trzech minutach wrócił i rozłożył na stole skafander.

Butle głucho stuknęły o plastik, a Śnieżka skrzywiła się tak, jakby ją uderzono. Potem wystukała na drzwiach przedniej komory:

- Podaj mi skafander. Sama sprawdzę.

Uczucie obcości, które pojawiło się między nami, powodowało u mnie autentyczny ból w skroniach: wiedziałem, że się rozstajemy, ale powinniśmy byli rozstać się nie w ten sposób.

Usiedliśmy łagodnie. Śnieżka była już w skafandrze. Myślałem, że wyjdzie do laboratorium, ale nie zaryzykowała tego, dopóki nie usłyszała w głośniku głosu kapitana:

- Załoga naziemna włożyć skafandry. Temperatura na zewnątrz - minus pięćdziesiąt trzy stopnie...

Luk był otwarty. Stali przy nim ci, którzy chcieli się pożegnać ze Śnieżką. Wysforowałem się przed rozmawiającą z doktorem Śnieżkę i wyszedłem na placyk przy trapie.

Nad tym bardzo obcym światem pełzły niskie obłoki i siąpił deszcz. W odległości trzydziestu metrów od statku zatrzymał się niski żółty pojazd, w pobliżu którego na mokrych kamiennych płytach stało kilku ludzi. Byli oni bez skafandrów. To zrozumiałe - kto wkłada w domu te flaki.

Mała grupa witających zagubiła się w nie mającym końca terenie kosmodromu, którego granice zniknęły za zasłoną deszczu i tylko z lewa czarnym wzgórzem wznosił się jakiś inny statek.

Podjechał jeszcze jeden pojazd, z którego także wysiedli ludzie. Usłyszałem, że Śnieżka podeszła do mnie.

Odwrociłem się. Pozostali członkowie załogi cofnęli się zostawiając nas samych.

Śnieżka nie patrzyła na mnie. Starła się odgadnąć, kto wyszedł jej na spotkanie. I nagle poznała.

Podniosła rękę i pomachała nią. Od grupy witających oderwała się kobieta, która pobiegła po płytach w stronę trapu. Śnieżka rzuciła się w dół, w jej stronę.

A ja stałem. Stałem dlatego, że byłem jedyną osobą na statku, która nie pożegnała się ze Śnieżką. Poza tym dlatego, że trzymałem zawiniątko z jej rzeczami. No i wreszcie dlatego, że z racji zajmowanego stanowiska wchodziłem w skład załogi naziemnej i powinienem był pracować na dole, asystować Bauerowi w czasie rozmów z kierownictwem kosmodromu. Nie mogliśmy się zatrzymać

tu dłużej i po godzinie powinniśmy byli odlecieć. Kobieta powiedziała coś do Śnieżki, ta zaśmiała się

i odrzuciła hełm. Hełm upadł i potoczył się po płytach. Śnieżka przeciągnęła ręką po włosach.

Kobieta przytuliła się policzkiem do jej policzka, a ja pomyślałem sobie, że obu im jest ciepło.

Patrzyłem na nie, były daleko. Śnieżka powiedziała coś do kobiety i nagle pobiegła z powrotem w stronę statku. Wchodziła po trapie patrząc na mnie i zrywając rękawiczki.

- Wybacz - powiedziała. - Nie pożegnałam się z tobą. To nie był jej głos - mówił translator znajdujący się nad lukiem przezornie włączony przez któregoś z naszych. Ale słyszałem również jej głos.

- Zdejmij rękawicę - powiedziała. - Tu jest tylko minus pięćdziesiąt stopni.

Odpiąłem rękawicę, ale nikt mnie nie powstrzymywał, choć kapitan i doktor słyszeli i zrozumieli jej słowa.

Nie poczułem zimna. Ani wtedy, ani później, kiedy wzięła moją rękę i na moment przycisnęła ją do policzka. Wyrwałem rękę, ale było już za późno. Na oparzonym policzku pozostał purpurowy ślad mojej dłoni.

- To nic - powiedziała Śnieżka potrząsając rękami, by tak nie bolało. - To przejdzie. A jeśli nie przejdzie, to też dobrze.

- Zwariowałaś - powiedziałem

- Włóż rękawicę, odmroziś rękę - powiedziała Śnieżka.

Z dołu kobieta krzyczała coś do niej.

Śnieżka patrzyła na mnie, a jej ciemnoniebieskie, prawie czarne oczy były zupełnie suche...

Kiedy już podeszli do pojazdu, Śnieżka zatrzymała się i podniosła rękę zegnając się ze mną i z nami wszystkimi. - Wpadnij potem do mnie - rzekł doktor. - Wysmaruję ci i zabandażuję rękę.

- Nie boli mnie - powiedziałem.

- Później będzie boleć - odpowiedział lekarz.

przekład : Michał Siwiec

WIKTOR KOŁUPAJEW

PRAWO DO POWROTU

Pośrodku okrągłej jasno oświetlonej sali w miękkich, wygodnych fotelach siedziało czterech mężczyzn.

- Oszaleć można od tej ciszy - powiedział Ego, najmłodszy członek załogi "Kleopatry".

Chudy, wysoki, z czarną czapką gęstych wijących się włosów. Wczepiony palcami w oparcie siedział z taką miną, jakby w następnej chwili coś mogło go wyrwać z fotela i rzucić w pustkę, z dala od budzących zaufanie ścian statku.

- Oszaleć można... - powtórzył cicho.

Stis pochylił się nad pulpitem chcąc włączyć jakąś muzykę, ale Royd powstrzymał go krótkim ruchem ręki.

- Nie trzeba. Jemu potrzebna jest teraz muzyka ludzkich słów, muzyka ludzkich myśli.

Royd był starszym i wszyscy uznali w nim dowódcę, choć na statku nie powinno było być dowódcy. Stis bez słowa skinął głową i znów odchylił się w krzesło.

- Chodzi mi po głowie tylko jedna myśl - powiedział Bimon, czwarty członek załogi. - Że Oni już tu dotarli. Pierwszą część programu chyba wykonaliśmy? - Popatrzył pytająco na Royda.

- Zapytaj Ega...

- Ja To czuję - powiedział Ego otrząsnąwszy się z odrętwienia. - Przez cały czas wyczuwam obecność czegoś lepkiego, obrzydliwego, wrogiego. Zobaczyć, by To, usłyszeć, dotknąć... żeby można było strzelać z blastera, myśleć, szukać wyjścia ze ślepej uliczki. Ale to nie wiadomo co. Jak można walczyć z nie wiadomo czym?

- A więc według ciebie Oni już tu są? - zapytał Royd i wzdrygnął się napotkawszy wzrok

Ega. Oczy Ega mówiły, że gdyby był sam, wiedziałby, co ma zrobić. Nieraz w ciągu swego długiego życia Royd stykał się z takim spojrzeniem i nagle jego także ogarnął strach. Ale Royd umiał panować nad sobą.

Ego odwrócił się. - A co ty o tym myślisz, Stis?...

Stis zaśmiał się nerwowo:

- Cha-cha-cha! Przecież Oni są już nie tylko tu. Oni są wszędzie. Może nawet dotarli już na ziemię. Odnaleźli ją i teraz wszyscy pośpiesznie uczą się robić harakiri. Cha-cha-cha!

- Dzieci też? - cicho zapytał Royd.

- N-nie, n-nie - Stis przyłożył ręce do ust. - Wybaczcie. Dzieci nie powinny się z tym zetknąć.

Wybaczcie mi. Zamilkł na chwilę; potem powiedział spokojniej: - Ale oni już tu są. Naprawdę tego nie czujecie? Naprawdę tylko ja sam?...

- Oni już tu są. Nie ma wątpliwości - powiedział Bimon:

- Kiedy wylecieliśmy z Ziemi, już było wiadomo, że tu będą. Przypuszczenie potwierdziło się, i tyle.

- Po co pytasz o to, Royd? - zapalczywie wykrzyknął Ego. - Przecież wszyscy o tym wiedzą.

Czyżbyś nie czuł?... - Chciałem wiedzieć, jak to odczuwa każdy z nas. Przecież żadne przyrządy nie rejestrują Ich obecności, a koniecznie trzeba się dowiedzieć, co to takiego.

Kwadrans temu posadzili "Kleopatę" na planecie o umówionej nazwie "Agrikola-4".

Właściwie Agrikola była to nazwa gwiazdy, dookoła której obracało się siedem planet. Na czwartej mieściła się nie sterowana baza Ziemian - to znaczy baza z zapasami żywności, wody, energii, aparaturą - słowem, z tym wszystkim, czego potrzeba człowiekowi do życia. Automaty monotennie badały planetę: rejestrowały temperaturę, ciśnienie, poziom promieniowania. Agrikola-4 nadawała się do skolonizowania. Nie była zamieszкана tylko dlatego, że odkryto ją zaledwie przed dwudziestu laty.

Pięć lat temu powinna była wylądować na niej pierwsza specjalna ekspedycja, która dałaby jednocześnie początek planowanemu badaniu i zasiedlaniu planety. Ale mniej więcej w tym czasie w kontrolowanym przez Ziemię kosmosie pojawiło się To. Początkowo w odległości stu

osiemdziesięciu parseków, w jednym - jedynym miejscu, a potem od razu w kilku. Ziemia znalazła się w centrum umownej sfery, poza której granicami panowało coś wrogiego dla człowieka, coś niezrozumiałego, nieuchwytnego, a przez to jeszcze straszniejszego.

Sfera nieubłaganie kurczyła się. Na razie obejmowała jeszcze kosmos opanowany przez człowieka. Liczne dalsze ekspedycje nie wytrzymawszy walki z nieznanym katapultowały się na Ziemię. Inne milczały. Rada Ziemi podniosła alarm. Teraz na ekspedycje wyruszyli starannie sprawdzeni ludzie, zrównoważeni psychicznie, gotowi walczyć do końca i katapultować się na Ziemię tylko wtedy, gdy dalsza walka z nieznanym nie będzie mieć sensu.

Ludzie mogliby się obronić, ale To było nieuchwytnie, a pojawiało się już w odległości stu parseków od Ziemi. "Kleopatra" była jednym z wielu statków, które Ziemia rzuciła na spotkanie niebezpieczeństwu. Załoga miała dwa zadania: dowiedzieć się, czy To pojawiło się w rejonie gwiazdy Agrikola, co stanowiłoby niezbity dowód, że coś wrogiego kontynuuje wędrówkę w kierunku Ziemi, i spróbować ustalić, co to jest. Dopóki Ziemia tego nie знаła, nie umiała się bronić.

Trzy miesiące temu "Kleopatra" startowała na Agrikolę. Jeszcze nie wychodzili ze statku.

- Możemy natychmiast katapultować się na Ziemię powiedział Royd. - Nikt nie nazwie nas za to tchórzami, bo do tej pory nikt nie umiał sobie z Nimi poradzić. Po prostu powiększymy liczbę ludzi, którzy nie dali sobie rady.

Uradowany Stis przechylił się do przodu, potem przygryzł wargę i odchylił się w krześle z obojętną miną.

Bimon pokręcił głową.

Ego głębiej wcisnął się w krzesło, tak że widać było tylko jego pobladłą twarz.

- Wszystko jedno, czy będziemy tu siedzieć, czy też wyjdziemy ze statku. Oni przenikają wszędzie. Wolę wyjść. Kto ze mną? - zapytał Bimon.

Nikt się nie poruszył. Niech idzie Royd. On widział tyle rzeczy...

- Pójdzie Ego - powiedział Royd.

- Nikt go nie może zmusić! - krzyknął Stis. - Sam się musi zmusić. Idź, Ego.

Royd włączył ekrany okrężnej obserwacji. "Kleopatra" stała w samym środku ogromnej polany pokrytej brunatną w czarne plamy - trawą. W odległości pięciuset metrów zaczynał się koślawy las.

- Dojdźcie do skraju lasu i zawracajcie.

- W glajderach? - z trudem wymawiając słowa zapytał Ego.

- Nawet ekran siłowy nie chroni przed Nimi - powiedział Royd. - Po co więc glajdery.

- Jesteśmy tu jak muchy na czystym stole, mucha, nad którą zawisła gotowa do uderzenia ręka - mruknął Stis. - Gdzie się nie ruszysz, i tak przytrzaśnie:

- Wypadków pełnego zniszczenia baz nie było. Jesteśmy po prostu wypierani. Chodźmy, Ego, wesołku. Jeszcze zaśpiewamy twoją piosenkę - Bimon wyprostował się. Uśmiechał się pokazując nieskazitelnie białe zęby.

- Weźmiemy blastery? - zapytał Ego. - Jakoś pewniej z nimi.

- Weźmiemy... choć jak mi się zdaje, nie będziemy mieli z nich żadnego pożytku. Ale skoro będziesz się czuć z nimi pewniej, weźmiemy. Ja zawsze noszę ze sobą to - rozpiął kołnierzyk koszulki. Na jego piersiach, na cieniutkim łańcuszku, wisiało coś w rodzaju medalu.

- Amulet? - uśmiechnąwszy się krzywo zapytał Stis. - Sybilla...

Mogła to być żona, narzeczona, przypadkowa znajoma, a nawet córka. Royd nic nie powiedział, pomyślał tylko, że on nigdy nie miał czegoś takiego. A szkoda.

Stis usiadł przy pulpicie sterującym siłowymi polami ekranizującymi. Dziesięciometrowy klosz z takiego pola przykrywał Ega i Bimom. Ani jedno żywe stworzenie nie mogło przezeń przeniknąć, ani jeden przedmiot. Kiedy Bimon uśmiechnął się, Stisowi zrobiło się lżej na duszy.

Trzeba trzymać się w garści, nie rozklejać. Dopóki mężczyźni szli po trawie, sterowanie siłowymi

kloszem nie stanowiło żadnego problemu. Ale jeśli wejda w las... Zresztą nie wejda. Powinni dojść jedynie do jego skraju.

Royd manipulował dźwigienkami sterującymi aparaturą analizującą. Jeśli to coś obcego, wrogiego pojawi się obok Ega i Bimona, powinien zmienić się obraz pól fizycznych. Jeśli to myśląca materia, powinny wystąpić anomalie w polu świadomości. Obraz pól fizycznych nie zmieniał się, jeśli zaś chodzi o pole świadomości, to sprawa była bardziej skomplikowana. Myśli zdenerwowanych ludzi deformowały pole.

Bimon szedł nieco w przedzie. Ego ledwie nadążał za nim. W rękach każdego z nich znajdował się blaster. Dwie wysokie figury na tle szkaradnego lasu. Bimon jest szerszy w ramionach. Jego krok jest dłuższy i pewny. Ego z przyjemnością idzie za nim, dobrze jednak byłoby wysunąć się do przodu, gdyż za plecami obrzydliwy chłodek. Zresztą wszystko jedno - i tak zaraz coś się stanie.

Zdradziecka cisza. Bimon opędza się od jakichś skaczących na wysokość, człowieka owadów.

Ego pozostał o dziesięć kroków w tyle za Bimonem i znów, jak na statku, poczuł, jak osacza go coś lepkiego, nieprzyjemnego. Znów zaczyna się tortura strachu. To coś znęca się nad nim, bawi się nim jak kot myszą.

Oto Bimon zwolnił kroku. - Bimom poczekaj...

Idący w przedzie mężczyzna zatrzymał się, obejrzał. Twarz Ega pokrywała bledość.

Tam na statku Stis wyszeptał: - Zniknąć by...

- Ty się śmiejesz, Stis - z trudem wymawiając słowa powiedział Royd.

Ego podniósł ręce, jakby przysłaniał głowę. Bimon ruszył w jego stronę oglądając się na las.

W tej samej chwili rozległo się głośne:

- Cha-cha-cha

I tak kilka razy. Znikąd i od razu zewsząd.

Ego nie wytrzymał i nacisnął spust blastera. W zenit poleciała krótka błyskawica. Ego jakby

stracił głowę, kręcąc się w miejscu ciał powietrze błyskawicami. Chichot ustał.

- Co to mogło być? - wciąż jeszcze trzęsąc się ze zdenerwowania zapytał Ego. Lewą ręką ocierał pot z czoła. - Rozumiesz, zniknęło! Zabiłem To! Zabiłem To! Prawda, Bimon?

- Nie wiem - odpowiedział Bimon. Napięcie minęło.

Analizatory pól fizycznych obsługiwane przez Royda nie zareagowały. Nie było to więc nic materialnego, może jakieś nie znane ludziom fale, gdyż pole świadomości zdeformowało się. Ale deformację tę mógł wywołać strach ludzi, gdy usłyszeli chichot.

Bimon splunął, pokręcił się w miejscu i powiedział:

- Strach ma wielkie oczy. To po prostu mogło być jakieś zwierzę. Przecież tu muszą być jakieś zwierzęta. Co o tym myślisz, Royd?

- Duże zwierzęta to tu są, ale czy potrafią one chichotać, czy też nie, tego nie wiemy - odpowiedział Royd.

- Chciałbym, żeby to było To - powiedział Ego. Niechby to było To. Wiedzielibyśmy przynajmniej, że boi się blastera.

- A noża, kamiennego topora nie? - zapytał z ironią Bimon.

- Nie wierzysz, że To można zabić? - krzyknął Ego. Patrz. Jeśli jeszcze raz się pojawi, będę strzelać.

Odwracał się to w jedną, to w drugą stronę przyciskając do piersi Master. Znow za plecami wyczuł czyjąś obecność. Znieruchomiał zobaczywszy rozszerzone oczy Bimona, który spoglądał gdzieś za jego plecy.

Skrajem polany przemknął niewyraźny, wciąż zmieniający wielkość - to malejący, to znow rosnący - cień.

W oczach Bimona pojawił się strach, na który zareagowały analizatory Royda.

- Jakies pole? - z nadzieją w głosie zapytał Stis. Royd pokręcił przecząco głową.

Ego poczuł, jak za jego plecami wyrasta gotowy do skoku potwór. Ego był młody i wciąż jeszcze bardzo niedoświadczony.

Bimon zobaczył nagle, jak nieokreślony cień ukształtował się w pięciometrowego gotowego do skoku gada, i bez namysłu nacisnął spust blastera. Ale nim to zrobił, Ego padł na szorstką, kłującą trawę, gdyż wydało mu się, że w pobliskich krzakach ktoś mierzy w jego plecy z dokładnie takiego samego blastera jak ten, który trzymał w ręku.

Bimon wystrzelił, ale nie trafił, gdyż nie było w co trafić. Zwierzę zniknęło. W tej samej chwili zza krzaków ktoś wypalił do niego z blastera. Błyskawica przeszła nad leżącym Egiem i osmalila policzek Bimona. Bimon odskoczył w bok zamierzając strzelić jeszcze raz, ale Stiś uprzedził go.

W miejscu, z którego tylko co ktoś strzelał, powstał kawałek wypalanej pustyni. Ego nie widział tego, usłyszał tylko salwę dział "Kleopatry", która potwierdzała, że tam rzeczywiście ktoś był.

Bimon ruszył przed siebie. Napięcie i strach nie mijały. Potrząsnął Egiem, podniósł go i postawił na nogi.

- Zobaczę, co tam - powiedział do Royda.

- Nie ma tam na co patrzeć - odpowiedział Royd. Jedną ręką trzymając się za piersi Ego nagle ruszył przed siebie silnie pochylony, jakby go mdliło. Bimon usiłował go zatrzymać, gdyż było rzeczą jasną, że chłopak nie wie, co robi.

- Ego, opamiętaj się! - krzyknął. - Puść, zabiliśmy człowieka...

Bimon złapał towarzysza wpół chcąc go siłą odprowadzić na statek, ale Ego też był silny.

Mężczyźni upadli i potoczyli się po trawie. I wtedy Bimon pośrodku pustyni, którą zrobili, zobaczył coś podługowatego i krzyczącego. Na moment puścił Ega, ten wykorzystał jego zmieszanie, poderwał się na równe nogi i biegiem rzucił się w stronę dziwnego przedmiotu.

- Co to, Royd? - zapytał Bimon podnosząc się. Royd z trudem poruszając ustami powiedział:

- Człowiek...

Bimon rzucił się za Egiem.

Na czarnej ziemi leżał człowiek w dziwnej odzieży. Jeszcze oddychał, ale było widać, że umiera. Ego opadł -na kolana, rzucił blaster i rozerwał koszulę na piersiach rannego.

- Skąd on się tu wziął? - sam siebie zapytał Bimon, któremu rysy twarzy tego człowieka wydały się dziwnie znajome.

- Wracajcie na statek! - rozkazał Royd.

Na lewej piersi człowieka czerniał otwór, z którego wypływał strumyczek krwi.

- Umarł - powiedział Ego. - Bez względu na to, kim Oni są, umierają jak ludzie. Zabiłem człowieka, Bimon. Jak to się mogło stać?

- To nie ty. Strzelano ze statku. Ty nawet nie podniosłeś blastera.

- Upadłeś i leżałeś tyłem do niego.

- Zabiłem go. Wiem na pewno. - Ego wstał z kolan, złapał blaster i chwiejnym krokiem ruszył w stronę lasu. - Bimon, zatrzymaj go! - krzyknął Royd.

Okrzyk ten usłyszał również Ego. Odwrócił się plecami do lasu, podniósł blaster na wysokość piersi i naprowadził go na Bimona.

- Nie podchodź, słyszysz? Już zabiłem jednego człowieka. Mogę i drugiego.

- Co ty, Ego? - wyszeptał Bimon robiąc kilka kroków w bok. - Co ty?

Cofając się Ego doszedł do lasu i skrył się w zaroślach. Bimon rzucił się za nim odbijając nieco w lewo.

Ego myślał tylko o jednym, o tym, że zabił człowieka. I znów ogarnął go strach. Strach, że ten człowiek nie był sam. On nie mógł być sam! Jest ich wielu. Nie wybaczą mu, za nic nie wybaczą.

Podniósł głowę. Szło ich pięćdziesięciu, jak na spacerze, uśmiechniętych, rozbawionych.

Dlaczego nie mają broni? - pomyślał Ego i uśmiechnął się. - Po co im broń? Oni mają coś o wiele lepszego.

Runął na trawę, drapiąc i wrywając ją palcami, i wyszeptał:

- Nie mogę. Nie mogę więcej.

Bimon zobaczył upadek Ega i podchodzących doń nieznajomych. Ich postacie nagle rozmazały się i zaczęły rozplływać. W chwilę później obcy zniknęli. Wraz z nimi zniknął Ego.

Bimom którego nikt nie zauważył, pozostał jeszcze chwilę w miejscu, następnie podszedł do miejsca, w którym zniknął Ego, podniósł blaster i powiedział do Royda

- Zostało nas trzech... Ego nie wytrzymał - i ruszył w stronę statku o niczym nie myśląc i machinalnie przestawiając nogi.

... Ego wypadł na granitowy trotuar u stóp wcale tym nie zdziwionych przechodniów. Wstał, spróbował strząsnąć z siebie pył i brud, machnął ną to ręką, podszedł do automatu, dużymi łykami wypił dwie szklanki chłodnego przyjemnego płynu i wezwał awionetkę. Po kilku sekundach już leciał nad miastem w kierunku budynku Rady.

Powrót ze świata strachu w ten znajomy, jasny, wesoły świat był tak szybki i przyjemny, że nie wytrzymał i zaczął szlochać.

Z ogromnej poczekalni spróbował od razu wejść do przewodniczącego, ale nie wpuszczono go.

- Jestem członkiem ekspedycji na "Agrikolę" - oznajmił z wyrwaniem w głosie. - Statek "Kleopatra". Ego.

- Dokąd się pchacie? - zapytano go.

- Oni już tam są, chciałem bez zwłoki zawiadomić o tym Radę.

- Tylko po to wróciliście?

- No nie... - zmieszał się Ego. - Po prostu nie wytrzymałem.

- Popatrzcie na tych ludzi.

Ego obejrzał się. W sali znajdowało się ze dwustu ludzi. Wielu było nie ogolonych; w poszarpanej brudnej odzieży. Niektórzy trzymali jeszcze w rękach blastery.

- Oni także nie wytrzymali... Wracacie z gwiazd jak groch. To pojawiło się już w odległości osiemdziesięciu parseków od Ziemi.

Ego zrozumiał, co go zdumiewało w twarzach tych ludzi. Wstyd. Jemu samemu też było niesamowicie wstyd.

- Ja mogę jeszcze raz... Tym razem nie...

- Wszyscy chcą! Zajmuje się wami specjalna komisja. Człowiek odszedł, ale Ego zdążył usłyszeć:

- Wrócili prawie wszyscy...

Ego usiadł na końcu kolejki. Powracający, a raczej katapultujący się z gwiazd, bo tak ich powszechnie nazywano, siedzieli nieruchomo, nie odzywając się do siebie słowem. Jednego po drugim wzywano przed komisję.

Ego usiłował zebrać myśli: po pierwsze, on - nieśmiertelny! - stchórzył, przestraszył się śmierci. A przecież nie może umrzeć! Po drugie, zdradził swoich towarzyszy. Po trzecie, nie dowiedział się, co to takiego. Też ludzie? Po czwarte, już nigdy nie poślą go do gwiazd.

Bimon z hałasem wtargnął do sterówki statku i rzucił na podłogę blastery. Royd chyba tego w ogóle nie zauważył. Jakby nic się nie stało, krzątał się przy analizatorach pól.

Stis nie wytrzymał i powiedział:

- On się katapultował na Ziemię...

- Nie próbuj źle o nim myśleć! - z wyzwaniem w głosie powiedział Bimon. - Jeszcze nie wiadomo, jak my postąpimy. On w każdym razie chciał się rozprawić z Nimi.

- Zwariowałeś?!... Nikt nie myśli o nim źle.

- Opowie na Ziemi, że Oni już się tutaj pojawili - kontynuował Bimon. - A to już coś.

- Właśnie - powiedział Royd, który wreszcie oderwał się od swych analizatorów. - Ego wykonał pierwszą część programu. Nasz powrót bez ważnej przyczyny nie miałby teraz sensu.

- Wcale nie myślałem o powrocie - powiedział Bimon.

- A ja tak - mruknął Stis. - Podświadomie. Wiem, że tego nie wolno zrobić, a mimo to nie opuszcza mnie myśl: "Na Ziemię, na Ziemię".

- To niedobrze. Tak nie wolno - powiedział Royd. Lepiej zrób to od razu.

- Ale przecież jesteście jeszcze wy. Bez was nie wrócę. Sam też za nic bym tu nie został.

- O czym ty mówisz?! - uśmiechnął się Bimon. Przecież każdy z nas ma w kieszeni ostatnią deskę ratunku. Porozmawiajmy lepiej o tym, co tu się wydarzyło. - Usiadł w swym fotelu i założył nogę na nogę. W jego pozie było tyle niezależności i wyzwania, że Royd uśmiechnął się, a Stis powiedział

- Zdaje się, że To się cofnęło.

Chyba tak było, gdyż wszyscy czuli się swobodniej. - No więc co tam mamy? - zapytał Bimon.

- Podsumujmy fakty - zaproponował Stis.

- Zgadzam się, choć niezbyt ich wiele - powiedział Royd. - Po pierwsze, nie jest to żadne ze znanych nam pól materii. Mimo to nie ośmieliłbym się przypuszczać, że jakieś nieznane pola jeszcze istnieją.

- Ale przecież to się nam nie śniło, prawda?! - z lekkim rozdrażnieniem w głosie powiedział Bimon. - Przecież to wszystko miało miejsce!

- W tym właśnie cały problem, że miało miejsce odpowiedział Royd. - Kiedy idziesz po trawie, zmiany pól fizycznych są tak nieznaczne, że nie rejestruje ich żadna aparatura i nie uwzględnia żadna z teorii. Kiedy strzelasz z blastera, aparatura to rejestruje. Kiedy statek przechodzi

przez trójwymiarową przestrzeń, niepotrzebna jest żadna aparatura. Jest to zauważalne i bez niej. Ale jak To może pojawiać się i znikać nie naruszając struktury przestrzeni? - Wystrzelony z krzaków ładunek przeszedł poprzez ekran - powiedział Stis - choć to niemożliwe, gdyż był to zwykły wystrzał, a pocisk z blastera nie jest w stanie przebić siłowego ekranu.

Bimon ostrożnie dotknął prawego policzka.

- Policzek jest osmalony. To widać - powiedział Royd. Niematerialny wystrzał nie jest w stanie osmalić policzka. Mimo to aparatura niczego nie zarejestrowała.

- A pole świadomości? - zapytał Bimon.

- To samo. Strach, który nas ogarnął, zakłócił wszelkie informacje, jeśli takowe w ogóle istniały. Gdyby Oni pojawili się wtedy; kiedy wszyscy są spokojni, być może udałoby się zarejestrować.

- Możemy spróbować - zaproponował Bimon. Będziemy czekać. Czasu mamy dość.

- Sądzę, że to nic nie da - powiedział Stis i uśmiechnął się krzywo. - Najpierw pojawia się strach, niezrozumiały, niewytłumaczalny, a dopiero po nim Oni.

- Wygląda na to, że Stis ma rację - skinął głową Royd. - Oni oddziałują na nas strachem, przygotowują na to, że nie będziemy w stanie oprzeć się, i dopiero wtedy się pojawiają.

- Ale przecież my się jeszcze opieramy - powiedział Bimon.

- Odparliśmy ze stratami pierwszy statek - patrząc Bimonowi w oczy powiedział Royd. - A będzie jeszcze drugi, dziesiąty...

- ... i w pewnym momencie nie będzie się miał kto opierać - dokończył Stis.

Przez plecy ludzi przebiegł dreszcz.

- Missisipi, rzeko moich przodków! - zaśpiewał głośno Bimon. Potem zamilkł i powiedział cicho: - To była ulubiona pieśń Ega.

Stis popatrzył na niego ze zdziwieniem, a Royd ze zrozumieniem pokiwał głową.

Zrobiło się ciut lżej.

- Chcecie kawy? - zapytał Stis.

- I kanapkę z serem - powiedział Royd.

Stis pewnym krokiem wyszedł ze sterówki, ale jego ręka nie od razu znalazła klamkę.

- Co z nim? - zapytał Bimon.

- Nie chce się poddać strachowi.

Stis wrócił z tacą, ale postawił ją na stoliku w pobliżu drzwi, żeby nikt nie zauważył, jak porozlewał kawę. Dał każdemu po kanapce i filiżance kawy. Przez kilka sekund pili w milczeniu, potem Bimon powiedział: - No więc czym dysponujemy? Kilkanaście sekund ciszy.

- Nie wiemy wprawdzie, co to takiego - powiedział Royd - ale, zawsze coś już o Nich wiemy.

- Na przykład? - zapytał Bimon.

- Że przed Ich pojawieniem się ogarnia nas strach. Że wszystko zaczyna się od strachu.

- To należy uznać za udowodnione - stwierdził Stis. - Po drugie, że Oni mogą przyjmować dowolne kształty. Od zwierzęcych do ludzkich. Przez przypadek czy też nie, w każdym razie zabiliśmy jednego osobnika, który był bardzo podobny do człowieka.

- I zniknął?! - zaproponował Bimon. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że On nie umarł. Że tak jak my katapultował się, gdy Jego życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Było Ich tam pięćdziesięciu i wszyscy zniknęli. Widać mogą błyskawicznie przenosić się w przestrzeni w obie strony.

- Dobrze - zgodził się Royd. - Zakładamy, że to Ich trzecia cecha.

- To, że mogą Oni przyjmować ludzkie kształty, wcale jeszcze nie świadczy o tym, że tak naprawdę wyglądają powiedział Stis. - Oni to robią dla nas. Wiedzą, że nie jesteśmy w stanie strzelać do ludzi.

- Niech to będzie po czwarte - kiwnął głową Royd. Choć wydaje mi się to naiwne. W takim

wypadku lepiej dla Nich byłoby pojawiać się w postaci dzieci.

- Royd! - krzyknął Stis. - Nie podpowiadaj Im tego! - Sądysz...

- Jestem przekonany, że dowiadują się, jakie są nasze słabe punkty, od nas samych.

- Niech to będzie po piąte.

Wszyscy milczeli z minutę, potem Bimon powiedział: - Pamiętacie, kiedy wyszliśmy z

Egiem ze statku, ktoś chichotał. Kto to mógł być? Ego jest młody i niedoświadczony, a wszyscy wiemy, że żadne z żyjących na Agrikoli-4 zwierząt nie potrafi się śmiać. Tak twierdzą raporty. Skąd wziął się ten śmiech? Którego z nas mógł on przestraszyć?

- A ty się nie przestraszyłeś? - zapytał Stis.

- Owszem, wzdrygnąłem się. To było tak nieoczekiwane... Miałem napięte nerwy.

Wzdrygnąłbym się nawet wtedy, gdybym nastąpił na gałązkę, ale nie bałem się.

- Ego mógł się przestraszyć - powiedział Royd. - Znów go odsądzasz od czci i wiary - powiedział z niezadowoleniem Bimon.

- Tak było - powiedział Royd. - Ego przestraszył się. Był najmłodszy z nas.

- Chcesz przez to powiedzieć, że niepotrzebnie braliśmy go na ekspedycję? - zapytał Bimon.

- Wcale nie - odpowiedział Royd. - Bardzo mi przykro, że nie ma go z nami. Mógł przeżywać wszystko o wiele subtelniej i głębiej niż my.

- Ale skąd wziął się ten śmiech? Kto w tym czasie myślał o śmiechu? Czyżby Ego?

- Ja nie myślałem o śmiechu - powiedział Stis.

- I mnie nie było do śmiechu - stwierdził Royd. - Zaraz.

Rzeczywiście nie było mi do śmiechu, ale powiedziałem: Ty się śmiejesz, Stis". W chwilę później rozległ się śmiech.

- A więc to my Im podpowiedzieliśmy - mruknął Stis. No dobrze, a kto Im podpowiedział potwora na skraju lasu? - Ja nie - powiedział Royd.

- Mnie by to nigdy nie przyszło do głowy - uśmiechnął się Bimon. - Sądzę, ie tego potwora zawdzięczamy Egowi.

- To prawdopodobne - zgodził się Royd. - Ale skąd ten strzał? Dlaczego tam się znalazł człowiek? Znów Ego? Jeśli to wszystko zawdzięczamy Egowi, to wielka szkoda, że nie ma go z nami... Skąd tam się wziął człowiek? Dlaczego?

- Rzeczywiście, dlaczego? - powiedział Stis. - Przecież nie powinno było go tam być.

Royd i Bimon spojrzeli na Stisa.

- Przecież po salwie z "Kleopatry" powinno tam pozostać jedynie spalona ziemia.

- Masz rację - powiedział Royd.

- To jeszcze nie wszystko - pochwycił Bimon. - Zupełnie o tym zapomniałem. Przecież On miał maleńką ranę na lewej piersi. To znaczy, że nie zabiła go salwa "Kleopatry". Ani ja, ani Ego nie strzelaliśmy do niego. Ego leżał, a ja po prostu nie zdążyłem... Coś mnie zdumiało w twarzy tego człowieka, ale wszystko odbyło się tak szybko, że nie pamiętam co.

- Włączmy aparaturę dokonującą wideozapisu i obejrzyjmy wszystko jeszcze raz - zaproponował Royd.

Stis spróbował uśmiechnąć się. Widać było, że nie chce wracać do przeżytego strachu.

Royd skierował się ku pulpitowi sterownicemu, w tej samej chwili zaterkotał brzęczyk. Było to tak niespodziewane i niewytłumaczalne, że ludzie potracili głowy.

Brzęczyk zadzwonił już kilka razy. Royd wciąż nie był w stanie uruchomić aparatury łącznościowej. choć ktoś ich wywoływał. Pryśła cienka ochronna ściana i do statku wtargnęło coś nieznanego i strasznego.

Royd włączył w końcu aparaturę i roześmiał się z ulgą, kiedy usłyszał w głośnikach:

- Mówi automatyczny statek łączności SK 12-12. Proszę potwierdzić odbiór.

Po pięciu sekundach znów to samo.

- Przecież to automat z Ziemi! - krzyknął Stis.

- Tak... - powiedział Bimon. - Automat z Ziemi leci tu cały miesiąc. Cóż takiego chcą nam oznajmić? Przecież nie przysyłałoby automatu ot tak sobie.

- Potwierdzam odbiór - powiedział wyraźnie Royd. "Kleopatra" potwierdza odbiór.

Automat zaczął odczytywać tekst komunikatu:

- Komisja, która przygotowywała "Kleopatrze" do lotu, informuje, że system katapultujący został uszkodzony i jeden z członków załogi nie jest nieśmiertelny. Nie może się katapultować na Ziemię. - I raz jeszcze: - Komisja, która przygotowywała...

Wiadomość ogłuszyła mężczyzn. Przecież wyruszyli w kosmos tylko dlatego, że wiedzieli, iż w każdej chwili, w dowolnym momencie, mogą wrócić na Ziemię. Byli święcie przekonani, że nie zginą w kosmosie, że w ostatniej chwili śmiertelnie ranni czy też bliscy obłędu znajdą się na Ziemi. W najlepszej klinice, w swoim mieszkaniu, w cichym lesie czy też na ulicy, tak jak to miało miejsce w przypadku Ega. Że dożyją późnej starości. Bo ludzie nie byli nieśmiertelni w pełnym znaczeniu tego słowa. Tylko w kosmosie nie mogło się im przytrafić nic złego. Tylko tam system katapultujący skutecznie chronił ich przed niespodziankami.

- Oni tam powariowali! - krzyknął nienaturalnym głosem Stis.

- Co za historia - wyszeptał Bimon.

Dobrze, jeśli to ja - pomyślał Royd. - Oni są jeszcze tacy młodzi. - A na głos powiedział:

- Do automatu: informacja przyjęta. Zezwalam na start na Ziemię.

Automat potwierdził odbiór i połączenie zostało przerwane. Statek łącznościowy wystartował na Ziemię.

- Dlaczego oni nie wysłali po nas statku ratunkowego?! zapytał Bimon.

Jego twarz pobladła, a fala strachu już poraziła umysł. Nie przypominał teraz tego śmiałka,

który szedł przed Egiem. - Przyślą - powiedział cicho Royd. - Na pewno przyślą. Statek już wyleciał

z Ziemi.

- Skąd wiesz? - siląc się na uśmiech z niedowierzaniem zapytał Bimon.

- Jestem pewny, że statek ratunkowy wyleciał, gdy tylko dowiedzieli się o awarii w systemie katapultującym. Ale...

- ... ale - dokończył za niego Stis - trzeba będzie czekać na niego jeszcze dwa miesiące. I to ma nas uspokoić? Lepiej, żebyśmy o tym nie wiedzieli. Pozostali dwaj mogliby się przynajmniej z czystym sumieniem katapultować...

- A trzeci? - zapytał Bimon.

- A trzeci i tak zginie - odpowiedział Stis. - Nie wytrzyma tu więcej niż kilka dni.

- Rzeczywiście. Po co nas uprzedzali - zauważył Royd. - Potrzebowali aż dwóch miesięcy na wykrycie awarii powiedział Stis. - Czy to trochę nie za dużo? Kto się teraz odważy polecieć w Daleki

Kosmos?

- Znajdą się tacy - odpowiedział Bimon.

Musiał to powiedzieć, żeby pozbyć się strachu, żeby choć przez chwilę czuć, że jest człowiekiem. Za wszelką cenę starał się nie myśleć o tym, że awaria nastąpiła właśnie w jego systemie katapultującym. Udało mu się poradzić z samym sobą. Zrozumiał to i uśmiechnął się.

Dlaczego z "samym sobą"? Z sobą poradziłby sobie bez trudu. Ale jak poradzić sobie z Tym?

Stis spojrzał na Bimona i Royda. Z Bimonem był w kosmosie po raz pierwszy. Z Roydem latał już dziesięć lat. Żaby tak wiedzieć, kto pozostanie na tej planecie... Jeśli to on, Stis, nie warto tracić czasu. Najlepiej od razu rozstać się z życiem.

Ale jeśli to ktoś inny? I Stis podjął decyzję.

Royd miał nadzieję, że to właśnie jego system katapultujący zepsuł się. Przecież w tragediach i nieszczęśliwych wypadkach musi być jakaś celowość. Tylko on powinien tu zostać. Tych dwóch wróci na Ziemię. I trzeba zrobić tak, żeby nie wrócili z pustymi rękami. I Royd podjął decyzję.

Żeby tylko nie stracić przytomności - pomyślał Bimon. Przytomny nigdy stąd nie odejdzie.

Bądź to dlatego, że jego system nawalił, bądź też dlatego, że nie będzie w stanie zostawić kolegi samego. I Bimon podjął decyzję. Ich decyzje były właściwie identyczne. Ale Stis bał się przystąpić do realizacji swej, Bimon wahał się, a Royd był pewny, że wszystko pójdzie po jego myśli.

Sytuacja niezbyt przyjemna - pomyślał Royd. - Gdyby "Kleopatra" mogła startować na Ziemię, nie wahałbym się ani chwili. Ale po wynalezieniu systemu katapultującego statki zwiadowcze lecą tylko do gwiazd. Z powrotem załogi wracają bez statków... Nie możemy przeprowadzić eksperymentu, aby wyjaśnić, który z nas tu zostanie, a więc nie mamy wyboru - musimy kontynuować pracę.

- Proponuję, byśmy obejrżeli wideozapis wyjścia Ega i Bimona ze statku - powiedział.

- Trzeba coś robić - Bimon podszedł do pulpitu sterowniczego. - Ta informacja wytrąciła nas z równowagi...: Włączam zapis.

Zobaczyli, jak Bimon i Ego wyszli ze statku, jak Ego ciął błyskawicami powietrze, jak na moment na skraju polany pojawiło się widmo ogromnego potwora.

- Uwaga! - powiedział Bimon. - Zaraz zaczną się dziać dziwne rzeczy.

Tam na ekranie Ego upadł na ziemię, ktoś wystrzelił na skraju lasu, Bimon złapał się za osmolony policzek. Salwa z .. Kleopatry".

- Daj powiększenie - poprosił Royd.

Na spotkanie ludziom pomknął krąg wypalonej ziemi. Prawie w samym centrum tego kręgu leżał człowiek z blasterem. Był on żywy i całkiem zdrów.

- Kiedy podbiegliśmy do niego, już nie żył! - krzyknął Bimon.

- Poczekaj - pohamował go Royd.

Człowiek nagle szarpnął się, upuścił blaster, zgiął się i znieruchomiał. Po kilku sekundach podbiegli do niego Ego i Bimon.

- Cofnij - poprosił Royd - i pokaż nam twarz Ega, kiedy leży na ziemi.

Bimon spełnił jego prośbę. Twarz Ega była skażona strachem. Trwało to sekundę, nie dłużej.

Potem jej wyraz zmienił się. Teraz był na niej żal, jakby Ego niechcący popełnił przestępstwo.

- A teraz pokaż nam jednocześnie twarz Ega i tego człowieka - jeszcze raz poprosił Royd.

Człowiek upuścił blaster w tej samej chwili, w której zmienił się wyraz twarzy Ega.

- Chciałbym wiedzieć, o czym myślał Ego w tym momencie - powiedział Royd.

- Chyba wiem, do kogo jest podobny zabity - powiedział Stis, który do tej pory milczał. - On jest podobny do Ega. To dokładna kopia Ega. Czyżbyście tego nie zauważyli?

- Zgadza się, on jest podobny do Ega - wyszeptał Bimon. - Teraz dopiero przypominam sobie, co mnie zaskoczyło w wyrazie jego twarzy. On rzeczywiście był podobny do Ega.

Obejrzeliby do końca zapis.

- Grupa obcych zniknęła razem z Egiem - stwierdził Royd.

- Co zrobimy, jeśli oni wykorzystali falowód, który wytworzył system katapultujący Ega? -

zapytał Stis. - Falowód może przenieść w przestrzeni tylko jednego człowieka - powiedział Bimon. -

Inaczej byliby już na Ziemi.

- Szkoda, że nie ma z nami Ega - powiedział Royd. - On miał taką bujną wyobraźnię.

- Był młody i niedoświadczony - stwierdził Stis.

- Być może tego właśnie nam brakuje.

- Zauważyliście, że całe to diabelstwo skończyło się po kapitulacji Ega? - zapytał Stis.

- Masz na myśli człowieka, wystrzał, potwora? To nie jest najstraszniejsze. Bardzo bym się cieszył, gdybym znalazł się na planecie. na której roi się od tych gadów. Człowiek wiedziałby przynajmniej, co ma robić. Z ludźmi również można się porozumieć. A z czym się zetknęliśmy wśród gwiazd? Czort wie. Jest rzeczą niemożliwą, by ten człowiek był dokładną kopią Ega. Jestem przekonany, że to tylko parawan.

A po chwili milczenia dodał:

- Wyjdę jeszcze raz ze statku. Trzeba obejrzeć bazę. - Pójdiesz sam? - z niedowierzaniem zapytał Stis. - Sam. Nie braknie wam tu roboty. Po prostu przespaceruję się. Obserwujcie wskazania swoich przyrządów. - Ładny mi spacer - mruknął pod nosem Stis.

Bimon wyszedł ze statku wyśpiewując jakieś stare murzyńskie pieśni. Szedł w rozpiętej kurtce wystawiając pierś na działanie promieni słonecznych; był bez blastera, a z góry nie chroniło go żadne pole siłowe.

- A jeśli to właśnie jego... - zaczął Stis i nie dokończył. Ale Royd zrozumiał go.

- Nie dowiemy się tego, dopóki nie wrócimy na Ziemię. Sądzę jednak, że to nie jego.

- Twój?

Royd ledwie zauważalnie skinął głową.

- A jeśli mój? - zapytał Stis. - Przez cały czas zastanawiam się, jak to sprawdzić... Dlaczego oni nie powiedzieli nam, który z nas nie jest nieśmiertelny?!

- Wiele pytań, Stis... Dopóki nie ma Bimona, spróbuj katapultować się na Ziemię. Jeśli się nie uda, jeśli się okaże, że to jednak ty, obiecuję, że nie zostawię cię tu samego Bimón nie dowie się o niczym.

- Boję się nawet tego.

Royd wyjął ostrożnie z aparatury rejestrującej rolki z filmami i zapisami wskazań przyrządów, starannie owinał je cienką przezroczystą taśmą i podszedł do Stisa.

- Nie - powiedział Stis. - Boję się. Niewiedza rozdziera mój mózg, ale i na Ziemię nie mogę wrócić. Wszystko we mnie zamarzło. Zimno, zimno. Niedobrze, Royd.

- To nic, przyjacielu. Jeszcze nieraz polecimy razem. - Już nigdy nie wybiorę się w Daleki Kosmos, Royd.

Stis zważył się pierś na pulpit sterowniczy. Royd chciał go szarpnąć za ramię, ale rozmyślił

się i wsunął do kieszeni jego kurtki pakiet z rolkami taśm.

Bimon szedł po krótkiej suchej trawie szeleszczącej pod nogami. Przez cały czas miał wrażenie, że ktoś go obserwuje. Obecność tej wrogiej siły wywoływała strach. Bimon starał się nie poddać mu. Zaczynał instynktownie czuć, że dopóki się trzyma, dopóki nie zalała go fala strachu, nic mu się nie stanie. Starał się iść równym krokiem. W jego chodzie była spokojna niedbałość, a nawet zawadiackość. Dopiero przyjrząwszy mu się uważnie można się było domyślić, ile go to kosztuje.

Im dalej był od statku, tym trudniej mu się szło. Po głowie coraz uporczywiej chodziła myśl: a jeżeli to ja? Bimon nie chciał umierać. Kto ma ochotę umrzeć?

Im dalej był od statku, tym rozpaczliwiej walczyła jego świadomość ze strachem, tym mniej pewny stawał się jego krok. Ale wciąż jeszcze szedł przed siebie.

Baza była standardową termoplastyczną konstrukcją, pewną i hermetyczną. Bimon znał kod zamku. Kiedy go wykrecił, drzwi otworzyły się szeroko. Wewnątrz stacji było chłodno i cicho. Ledwie słyszalnie buczały urządzenia klimatyzacyjne. Lampy zapalały się automatycznie, kiedy zbliżał się do nich. Bimon szybko przeciął hall, szeroką salę z fotelami, z półkami na książki, niewielkim barem i elektronowymi organami. Dalej był korytarz, a po jego obu stronach pokoje, w których nikt nigdy nie mieszkał. W końcu tego korytarza znajdowały się laboratoria. Stały w nich automaty, badające planetę, maszyny liczące i inny sprzęt.

Bimon już prawie biegł. Żeby tylko zdążyć zabrać rolki z zapisami automatów, żeby tylko zdążyć wrócić na statek! Bardzo chciał wrócić na statek, choć doskonale wiedział, że nie jest tam bezpieczniej niż tu.

I nagle zrozumiał, że umarł. Umarł w męczarniach z jedną jedyną myślą, że umarł. Umarł w męczarniach z jedną jedyną myślą, że umiera, z koszmarami agonii i zwierzęcym strachem przed nieuniknioną śmiercią. Gdyby mógł przeanalizować swój stan, zdałby sobie sprawę z tego, że po śmierci nie można powtórnie umierać, ale niestety nie mógł.

- Stis! Rozkazuję ci wracać na Ziemię - krzyknął Royd. On także walczył ze śmiercią i strachem, rozumiejąc nagle, że to porażona strachem wyobraźnia Stisa podsunęła im nową torturę. Że Oni nie omieszkali wykorzystać strachu Stis wzmocniwszy go stokrotnie zaatakowali wszystkich trzech. I że tylko on jeden jeszcze się trzyma.

- Stis, rozkazuję ci...

- Nie... nie...

- Stis!

- To tchórzebstwo... Strach...

... rozkazuję...

Strach dodał nagle sił Stisowi i otępił jego umysł.- Wiedział teraz tylko jedno: trzeba natychmiast ustalić, który z nich tu zostanie.

Dziesięć raty umierał, zanim utwierdził się w swym postanowieniu. Dziesięć razy umierali Bimon i Royd.

- Przecież temu, który zostanie, i tak pisana jest śmierć... Wyprawię cię na Ziemię. - Rzucił się do Royda. - Musisz stracić przytomność, by znaleźć się na Ziemi. Muszę cię uderzyć, Royd.

- Rozkazuję... na Ziemię - wyszeptał Royd. - Twój strach zabije nas.

- Muszę cię uderzyć.

Walczyły w nim teraz strach przed śmiercią i strach przed zdradą. Wahał się jeszcze przez chwilę, a potem z całych sił uderzył Royda. Royd przewrócił się wraz z fotelem, w którym siedział. I wtedy Stis opamiętał się. Ukląkł obok starego człowieka, zaczął obmacywać jego głowę i ciało. Wydawało się, że Royd już nie oddycha. Z jego ust wyciekła strużka krwi.

- A więc to on. To on tu zostanie.

Bimon zataczając się podniósł się z podłogi laboratorium.

- Royd ! - zawołał cicho.

Nikt nie odpowiedział.

- Royd! Stis! - zawołał głośno, tak głośno, jak mógł. Stis zaczął się histerycznie śmiać.

- Słyszysz mnie; Bimon?! To był jednak on! On! On! Royd poruszył się. Stis ze strachem spojrzał na starego człowieka. Mężczyzna wy dobył się z fotela i bez słowa podszedł do leżącego na podłodze blastera. Wziął go i ruszył w stronę Stisa.

- Co chcesz zrobić, Royd?! Dlaczego wzięłeś blaster?! Dlaczego idziesz w moją stronę?!

- Stis, rozkazuję ci wrócić na Ziemię. Tu już nie jesteś, Potrzebny,

- Wyganasz mnie jak tchórza. Ja przecież tylko chciałem sprawdzić. Ja tylko chciałem sprawdzić...

- Rolki są w kieszeni twojej kurtki. Nie jesteś tu potrzebny.

Stis oklapł. Runął na podłogę, podczołgał się do Royda i wyszeptał:

- Już dłużej nie mogę. Wybacz... nie mogę.

... Wypadł z czterowymiarowej przestrzeni w szpitalu psychiatrycznym, wyszeptał: "To był Royd", i stracił przytomność.

Royd wypuścił z rąk blaster i ten z głuchym stukiem upadł na podłogę. Stary człowiek postawił fotel i usiadł.

- Stis! Royd! - zawołał Bimon.

- Tu jestem, mój chłopcze - odpowiedział stary. Niczego się nie bój. U nas wszystko w porządku.

- Co się tam u was działo?

- Wyprawiłem Stisa na Ziemię. Tak było trzeba. Nie odszedł z pustymi rękami. Wszystko w porządku. Wracaj na statek. Mamy jeszcze sporo roboty.

Bimonowi szumiało w głowie, nieprzyjemna słabość wypełniała całe ciało, ale strach minął.

Już więcej nie umierał. Wyjął z aparatury pomiarowej rolki, poupychał je po kieszeniach i

nierównym krokiem wyszedł z pomieszczenia bazy.

Na pół leżący w fotelu Royd chyba spał. Ale kiedy Bimon podszedł do niego, otworzył oczy i cicho powiedział:

- Przeżyliśmy dziecięce strachy Ega i strach przed śmiercią Stisa. Co jeszcze nas czeka?

- Teraz już nie boję się niczego.

- Oby tak dalej. A ja się boję. Boję się o ciebie i ... - chciał powiedzieć "Ziemię", ale zamilkł.

- Zmęczyłem się. Pomóż mi dostać się do łóżka.

- On cię uderzył! - krzyknął Bimon. - Jak on śmiał podnieść na ciebie rękę?!

- Stis eksperymentował, synu. Bardzo chciał się przekonać. Na kilka sekund straciłem przytomność, a jednak zostałem tu. To znaczy...

- To znaczy, że nie możesz wrócić na Ziemię. A więc to takie eksperymenty przeprowadzał Stis!

- Pomóż mi dostać się do łóżka. Sam nie dam rady. Bimon położył Royda w łóżku i ten ucichł w jakimś półśnie. Niekiedy otwierał oczy, patrzył niewidzącym spojrzeniem poprzez Bimona i nie odzywał się słowem.

Bimon spędził przy łóżku Royda około godziny. Potem wyszedł z pokoju i skierował się do sterówki, aby przeglądać rolki, które przyniósł ze sobą. Zdążył przejrzeć zapisy wykonane przez automaty z powietrza. Pracowało mu się dobrze, tak dobrze, że mógł też obserwować wskazania analizatorów pól. Był całkowicie spokojny. Gdyby Oni pojawili się teraz, analizator pola świadomości z pewnością odnotowałby Ich obecność.

Bimon tak był pochłonięty pracą, że pierwszy atak strachu po prostu zdziwił go. Rzucił się do analizatora, ale było już za późno. Pole świadomości zostało już zdeformowane jego strachem.

Nie bał się o swoje życie, nie. Był przekonany, że nic mu nie grozi. To był strach o kogoś innego. I nie jego własny, lecz pochodzący z zewnątrz. Obcy strach. Ale przecież było tu ich

zaledwie dwóch. On i Royd. Jeśli Royd śpi, to jest to strach w czystej postaci. Strach, którym To męczy jego towarzysza. Bliskość rozwiązania dodała mu odwagi. Poza tym ten strach był jakiś niejasny. Strach w ogóle, nie o siebie. Tego Bimon był pewien.

Starając trzymać się w garści ruszył w stronę kabiny Royda. Kiedy szedł do starego, strach stał się bardziej konkretny. Teraz Bimon bał się, że To dotarło do Ziemi. Widział, co tam się dzieje. Ogólny chaos i podejmowane przez niewielką grupę ludzi próby poradzenia sobie z Nimi. Do strachu Bimona doszło poczucie winy. Winy dlatego, że nie dowiedział się, co to jest. I teraz było za późno na cokolwiek. Ziemia ginęła.

Szarpnięciem otworzył drzwi pokoju Royda. Mężczyzna rzucił się na łóżku. Trzęsącymi się rękami Bimon zanurzył w szklance z zimną wodą szmatkę i położył ją na spoconej głowie starego. Następnie spróbował obudzić go. W końcu udało mu się. Royd ocknął się. Tylko przez sekundę nie wiedział, co się dzieje. Potem jego spojrzenie stało się rozumne i mężczyzna spróbował podnieść się na łóżku. Bimon pomógł mu. Strach nieoczekiwanie prysnął.

- To byli Oni, Bimon?

- Tak.

- Co to było tym razem?

- Strach o Ziemię, że Oni tam już są.

- Bredziłem?

- Rzuciłeś się na łóżku.

- To był mój strach. Bredziłem tym strachem. Jak długo Będę czuwać, tak długo będę się trzymać w garści. Połóż mi poduszkę pod głowę.

Bimon spełnił prośbę. Royd uśmiechnął się i powiedział: - Długo nie pociągnę. Kiedy mnie nie będzie, powinieneś natychmiast katapultować się na Ziemię.

Bimon przecząco pokręcił głową.

- Twoja obecność tu nie będzie miała sensu. Powinieneś wrócić na Ziemię i opowiedzieć wszystko... Pamiętasz pierwsze minuty po naszym przylocie na tę planetę? Strach nie był wtedy konkretny. Otaczało nas tylko coś wrogiego, nieprzyjemnego, lepkiego. Przez cały czas spodziewaliśmy się ataku. Gotowi byliśmy poddać się strachowi. Pierwszy nie wytrzymał Ego. I zobaczyliśmy jego zmaterializowane strachy. Były one pierwsze, dlatego wydawały się nam nie do wytrzymania. Potem nie wytrzymał Stis. Nie sądź go surowo. To był żelazny człowiek. Latam z nim dziesięć lat. Zaczynaliśmy wtedy, kiedy o katapultowaniu się na Ziemię nikt nie marzył. I jego strach udzielił się nam. Dlaczego? Tortura strachu jest najstraszniejsza, gdyż od razu pozbawia człowieka woli. Teraz zostało nas dwóch. I znów strach, mój strach, który udzielił się tobie... A przecież teraz się nie boimy...

Bimon przytaknął.

- Dlaczego teraz się niczego nie boimy? Dlatego, że nie boję się śmierci? Śmiechu?

Wystrzału z blastera? Skoku dzikiego zwierza? Nie mam się czego bać i teraz To nie ma nade mną władzy. A ty?

- Jestem spokojny. Interesują mnie teraz tylko dwie rzeczy: twoje zdrowie i Oni.

- Memu zdrowiu ani ty, ani ja sam pomóc nie jesteśmy w stanie. Jestem stary, a Stis ma mocne pięści. A poza tym... jestem bardzo zmęczony. Życiem... Nie. Mówmy tylko o tym.

- Dobrze.

- To oddziaływa na nas tylko strachem. Strachem, którego przyczyny sami mu podsuwamy.

Wystarczy, by przestraszył się jeden człowiek, i wszystkich atakuje ten sam lęk. Nazywamy to wzmocnieniem strachu. Przecież nic prócz tego, co sami wymyśliliśmy, nas nie męczyło! Nawet ten zabity.

- Tak. Ego powiedział, że zabił człowieka. Wydawało mu się. Przecież nawet nie strzelał.

- Ale przestraszył się, że zabił człowieka. A to podsunęło nam dowody, że tak było.

- To nie dowody.

- Chyba masz rację. Wiemy przecież, że nie doszło do żadnego zabójstwa. Ale dla Ega z jego strachami te niby-dowody były dowodami i chłopiec nie wytrzymał. Tak jest wszędzie. Wszędzie stosują przeciw nam strach. Ale kim Oni są? Nieznanym polem czy też wrogo do nas nastawionym Rozumem? Rozumem, który zna tylko jedną metodę walki?

- Czy już kiedyś zdarzyło się coś takiego?

- Nie, nie słyszałem o czymś takim. Nie wiem.

W ekspedycjach zawsze bierze udział ktoś słabszy od pozostałych. Ale inni, mężniejsi, pomagają mu i taki człowiek stopniowo mężnieje. Teraz natomiast jest na odwrót. A zaczęło się to pięć lat temu.

- Dobrze, że nie wcześniej. Wcześniej nie było możliwości katapultowania się na Ziemię. Co by robiły załogi nie mając możliwości powrotu w dowolnej chwili na Ziemię? Wszyscy powariowaliby.

- Tak. Dobrze, że istnieje system katapultujący.

Royd zamknął oczy. Widać było, że rozmowa ta wyczerpała wszystkie jego siły.

- Niedobrze mi, Bimon. Szkodzę tylko. Blaster, Bimom albo zastrzyk. Nie...

Nie dokończył, stracił przytomność.

Royd znów bredził strachem o Ziemię. Jego widzenia Bimon odbierał tak wyraźnie, jakby miały miejsce na jawie. Zniknęły ściany statku. Zniknęła Agrikoła-4. Tylko rozpalona ręka Royda powstrzymywała go od popadnięcia w obłęd.

Nie wiedział, jak długo to trwało.

Nieoczekiwanie Royd odzyskał przytomność. Słabnącą ręką dotknął policzka Bimona.

- Bimon, Oni są w nas. Nie mogę więcej.

Ręka Bimona zawisła w powietrzu. Royd zniknął. Kiedy po dłuższej chwili dotarło to do

Bimona, mężczyzna wpadł w zachwyty: co za człowiek! Nawet znajdując się w malignie nie chciał wracać na Ziemię. Dopiero kiedy był pewny, że nie może się katapultować, ból i trzy słowa zgodne z jego pragnieniami przeniosły go na Ziemię.

Royd wypadł z czterowymiarowej przestrzeni na stół operacyjny. - Instrumenty - powiedział chirurg. - Ma zmiądzoną kość skroniową.

Bimon zachwycał się wytrzymałością i siłą woli Royda. Dopiero w chwilę później dotarło do niego, że to jego system katapultujący uległ awarii i że został sam na sam z Nimi.

Początkowo ogarnął go strach, ale potrafił zapanować nad sobą. Nie wolno poddawać się strachowi, gdyż będzie się on nasilać. Trzeba trzymać się w garści. Udawało mu się to. Strachy co prawda napierały nań ze wszystkich stron, ale nie poddawał się im. Zanucił piosenkę. Ulubioną piosenkę Ega.

Wyprostował się, uśmiechnął... i strach zaczął przechodzić. Wtedy wyszedł z pokoju Royda, wyszedł ze statku. Nie wziął ze sobą blastera. Nie przykrywał go klosz siłowego pola. Nad planetą wstawało słońce. Jego koniuszek wysunął się już zza horyzontu. Stopniowo strachy Bimona zniknęły całkowicie. Szedł na wschód, póki słońce nie podniosło się na tyle, że zrobiło się gorąco. Wtedy zdjął

koszulę i zawrócił. Wrócił na statek i wziął się do pracy. Ekipa ratunkowa z Ziemi przybędzie na pewno. Trzeba tylko wytrzymać dwa miesiące. Dlaczego wytrzymać? Przecież było mu teraz lekko i wesoło, a przeżyte strachy tylko go śmieszyły.

Zaparzył sobie kawy i przygotował obiad. Po obiedzie zaczął studiować materiały, które zgromadziły automaty. Wieczorem wyszedł na spacer i odkrył w lesie dziwne, niepodobne do ziemskich kwiaty, i narwał ich cały bukiet. Po kolacji przejrzał kopie taśm, na których zostało zarejestrowane i zapisane wszystko to, co wydarzyło się na Agrikoli-4.

Następnego ranka był w doskonałym humorze, którego nie zepsuł nawet sześciogodzinny deszcz.

Cokolwiek jednak robił, myśli jego wciąż obracały się wokół pytania: cóż takiego To było? I

stopniowo myśli te zaczęły układać się w hipotezę, stopniowo pojawiła się pewność, że rozszyfrował

zagadkę.

Pomogły mu w tym i kopie taśm, i pamięć odtwarzająca w najdrobniejszych szczegółach jego myśli, odczucia i posunięcia. Pomogły raporty poprzednich ekspedycji i zasłyszane niegdyś przez niego opowieści. I słowa Royda. Przeanalizował wiele faktów i zrobił pierwsze odkrycie.

To pojawiło się na obszarach kontrolowanych przez Ziemię, w czasie gdy wprowadzano do użytku system katapultujący. Początkowo tylko w jednym jedynym miejscu. Co się tam konkretnie wydarzyło, nie wiedział, zresztą to nieważne. Dopóki nie dowiedziały się o tym inne ekspedycje, nikt się Tego nie bał. A później zaczęła się lawina.

Ekspedycja znajdująca się najdalej w kosmosie nie wytrzymała. Dowiadywała się, że pojawiło się To, a że nikt nie wiedział, co, przypadkowy strach jednego z członków ekspedycji udzielił się innym. Pojawiały się nowe strachy, które potęgowały się i wędrowały na Ziemię.

Przychodziła kolej na tych, którzy znajdowali się bliżej. Teraz oni stawiali twarzą w twarz z nieznanym... i na Ziemię wracały nowe ekspedycje. Wydawało się, że coś bezlitosnego i wrogiego zaciska pętlę wokół planety. Drugiego odkrycia dokonał Royd. To coś rzeczywiście wzmacniało strach. Wzmacnianie strachu było jego jedyną cechą. Nie istniało bowiem nic konkretnego, co mogłoby stanowić powód do strachu. Coś takiego istniało jedynie w wyobraźni śmiertelnie przerażonych ludzi. Bimon starannie zbadał rolki. Byli na nich i Ego, i Stis, i Royd, i on sam, i wystrzał z "Kleopatry". Nie było na nich natomiast chichotu, obrzydliwego gada na skraju polany, wystrzału z blastera, śmiertelnie rannego człowieka. Wszystko to zniknęło wraz ze strachem.

Oni są w nas - powiedział Royd.

Trzecie odkrycie polegało na ustaleniu, że przyczynę ataku zawsze stanowił strach człowieka.

Czwarte odkrycie dotyczyło przyczyny zjawiska. Bimon doszedł do wniosku, że wzmacniacz strachu stanowi system katapultujący. To pojawiło się z wejściem do użytku systemów katapultowania. On i jego strachy są tego najlepszym dowodem. Jak długo byli tu inni ludzie, udzielały się mu ich wzmocnione strachy. I nie można sobie było z nimi poradzić, dopóki człowiek, będący źródłem tego strachu, nie katapultował się na Ziemię. Kiedy on, Bimon, został sam, wszystkie strachy zniknęły. To zrozumiałe, skoro nie jest podłączony do systemu katapultowania, skoro jest teraz człowiekiem, jakich na Ziemi miliardy. Jego system katapultujący uległ awarii. Ale jakiej?! Przecież właśnie ona pomoże ludzkości uporać się z Tym. No cóż, być może trzeba będzie zrezygnować z systemu katapultującego i kosmonauci będą zdobywać kosmos tak jak kiedyś. Być może będą ofiary. Na pewno będą. Ale za to nie ulegnie zahamowaniu postęp.

Znów poleci w Daleki Kosmos.

System katapultujący z jednej strony - pełne bezpieczeństwo. Z drugiej - strach. I to bezpieczeństwo, i strach będą sąsiadować ze sobą wiecznie.

Spędził na Agrikoli-4 tydzień. Ósmego dnia obok "Kleopatry" wylądował statek. Wyszli z niego ludzie.

- Tego już nie ma! - krzyknął Bimon i opowiedział im wszystko.

- Wygląda na to, że nasz eksperyment powiódł się powiedział jeden z nowo przybyłych.

- A więc awaria w moim systemie katapultującym była zaplanowana?! - wykrzyknął Bimon.

Bez gniewu, po prostu ze zdziwieniem.

- Owszem. Inaczej nie przylecielibyśmy tak szybko. Przecież automat wyleciał w dwa miesiące po waszym starcie.

MY - w tydzień.

- Chcę na Ziemię. Chcę zobaczyć Sybillę. Chcę zobaczyć znajomych.

- I swego syna?

- Syna? Urodził mi się syn?! Ani minuty dłużej na tej planecie! Natychmiast startujemy. Trzy miesiące... Nie wytrzymam tak długiego lotu. Mam nadzieję, że wasz statek przeznaczony jest do powrotnych lotów?

Kapitan statku z uśmiechem pokręcił głową: - Nie, nie jest.

- Wrócimy na Ziemię w ułamku sekundy - poinformował go inny członek załogi.

- To wy... A ja? Przecież ja się nie mogę katapultować.

- A to niby dlaczego? Choćby zaraz.

- Czyżby system można było odtworzyć?

- Nie.

- W takim razie...

- Twój system jest całkowicie sprawny.

- I mogę w każdej chwili wrócić na Ziemię?

- Oczywiście.

- A więc moja teoria jest fałszywa?

- Wprost przeciwnie. Prawdziwa w więcej niż stu procentach. System katapultujący rzeczywiście wzmacnia ludzkie strachy.

- Ale ja się przecież nie bałem.

- To jest właśnie najważniejsze. Zdołałeś pokonać strach, swój wzmocniony setki razy, zmaterializowany strach. Teraz będą to potrafili zrobić i inni. I wszystkie załogi będą wracać z Dalekiego Kosmosu.

- Cudownie! - krzyknął Bimon. - Chcę na Ziemię!

przekład : Michał Siwiec

WŁADYMIER MICHAJŁOW

CZARNE ŻURAWIE

Przestrzeń była nieskończona.

Zwodniczo jawiła się naiwnemu oku jako pustka, w rzeczywistości zaś kipiała zgęstkami i zawichrowaniami pól, niezauważalnie wyginała się w pobliżu gwiazd i z ulgą prostowała z dala od nich niczym prąd morski, który opłynął wyspy. W tej wiecznie zmieniającej się nieskończoności statek stawał się nierozróżnialny niczym kropla wody w oceanie. Wyciągnięty i lekki, uskrzydłony wyrzuconymi daleko na boki ażurowymi konstrukcjami unosił się nad groźnymi falami grawitacyjnych burz zdolnych go zniszczyć, rzuciwszy na niewidzialne rafy zakazanych przyspieszeń. Hamował i znów się rozpędzał, otaczał obłokiem pól ochronnych uciekał, wymykał się, wymigiwał - i kontynuował swą podróż, a jego krystaliczna łuska dawała mglisty odbłask w rozproszonym świetle gwiazd.

Ale bez względu na to, co działo się na zewnątrz, pod osłoną mocnych burt statku panował spokój. Nawet kiedy statek przebijał się przez zewnętrzny rękaw subgalaktycznego gamma-prądu i strzałki przyrządów gięły się na ogranicznikach, jakby, próbowały się wyrwać z ciasnych pudełek i ratować ucieczką, a szybkie jak błyskawica prądy tłukły się po błyszczących arteriach automatów - nawet wtedy w sterówce, salonie i kajucie było cicho i przytulnie. Żółte i zielone ściany odbijały miękkie światło, a błękitny sufit emanował spokojem. Ten spokój udzielił się również dwóm ludziom zamieszkującym statek.

Wydawało się, że panuje cisza. Przytępiony słuch nie rejestrował dłużej przygłuszonego akordu złożonego z głosów mnóstwa przyrządów i aparatów, z których każdy miał własny tembr i wysokość. Akord ten docierał do świadomości ludzi tylko wtedy, gdy rozlegał się fałszywy dźwięk oznaczający zmianę parametrów pracy urządzeń. Najczęściej zmiana taka wiązała się z niebezpieczeństwem. Jeden z przyrządów urwał nagle swoje nieskończone "la". Umilkł, jakby zabrakło mu tchu. Zaraz jednak zaczął znowu, ale tym razem zamiast przeciągłej pieśni z wąskiej szczeliny fonatora wysypała się garść krótkich, urwanych sygnałów. Jakby przyrząd miał już dość

śpiewania i postanowił przemówić, jeszcze nie umiejąc wymawiać słów. Dźwięki przetaczały się przez sterówkę i stawały słyszalne. Nabierały wysokości i po kilku sekundach osiągnęły górne "do". Siedzący w wygodnym fotelu przy pulpicie starszy z mężczyzn, jak się wydawało, drzemał. Ale jego reakcja była zachwycająca. Młodszy wspominał później rozgrywającą się na jego oczach scenę tak: najpierw kapitan zgiął się błyskawicznie upodabniając się do gotującego się do lotu drapieżnego ptaka - nawet jakby skrzydła poruszyły się za jego plecami - a w następnej chwili rozległ się cichutki sygnał. Wszystko odbyło się oczywiście w odwrotnej kolejności, ale tak szybko, że można się było pomylić.

W następnym ułamku sekundy, jakby chcąc iść w zawody

Z coraz szybszym stukotem, starszy błyskawicznie obrócił się. Obrotowe krzesło, na którym siedział, zawarczało krótko. Kapitan wykonał tak szybki, że aż niezauważalny ruch. drzwi wysokiej szafy, do której twarzą teraz siedział, bezdźwięcznie rozeszły się na boki. Za nimi znajdował się ekran i usiana przełącznikami tablica. Młodszy widział ten pulpit po raz pierwszy.

Ręce kapitana rzuciły się ku pulpitowi. Mężczyzna nie patrzył na palce, tak jak nie patrzy na nie pianista. Palce żyły własnym życiem. Wyglądało to tak, jak gdyby każdy z nich dysponował wzrokiem i działał niezależnie od innych.

Co robiły, trudno było pojąć; buszowały w gąszczu przełączników, a ich kontakt z każdym włącznikiem i dźwigienką był tak krótki, że młodszy nie mógł dostrzec ich ruchu, długie, suche, znikwały, aby pojawić się w innym miejscu pulpitu.

Zapłonął dotąd szary ekran nad nowym pulpitem. W akord, który dał się słyszeć, wplotły się nowe dźwięki o nieprzyjemnym brzmieniu. Przez statek falą przeszło charakterystyczne drzenie, to włączyły się delta-generatory. Zapaliły się indykatory; ich światło, początkowo mglistoczerwone, szybko nabierało mocy, jak gdyby za okrągłymi szybami zapalał się jasny płomień. Na ekranach obserwacyjnych widać było, jak na zewnątrz statku drgnęły i obróciły się kule tkwiące na końcach

wiązarów wybiegających daleko w przestrzeń. Znow rozległ się szcęk; po bokach pulpitu podniosły się błyszczące tytanowe cylindry i zatrzymały się podrygując, a w okrągłym okienku poniżej ekranu drgnął i zakreślił się, nabierając coraz większej szybkości, niewielki czarny dysk wydający niskie, ledwie słyszalne buczenie. Do tego czasu młody, doszedłszy do siebie, zdążył jedynie otworzyć usta chcąc zadać ważne pytanie. Ale starszy, wyraźnie dysponujący zdolnością uprzedzania wypadków, w tej samej chwili nie odwracając się wyszeptał: "Ciszej!", i młodszy ostrożnie, milimetr po milimetrze, jakby bał się stuknąć zębami, zamknął usta. Kapitan natomiast, momentalnie zapomniawszy o rozmówcy, znow wbił wzrok w migocący krąg ekranu. Prawa jego ręka spoczywała na czerwonej dźwigni.

Z pół minuty upłynęło w milczeniu. Nieoczekiwanie napięcie spadło, starszy wyprostował się ciężko i wolno, z wysiłkiem zdjął rękę z dźwigni. W tej samej chwili coś przemknęło przez pole widzenia urządzeń wideo - zamigotało na ekranie i znikło. Starszy westchnął. Głos przyrządu, który podniósł alarm, zaczął się obniżać, drobne sygnały zlały się i znowu przekształciły się w przeciągłe "la". Indykatory zgasły, błyszczące cylindry skryły się w pulpicie. Starszy wolno obrócił się z fotelem i wstał. Patrząc przed siebie przeciął sterówkę i bez słowa wyszedł. Drzwi już zatrzęsły się

za nim, gdy rozsunięte skrzydła nieznanego pulpitu ruszyły z miejsca i po chwili zeszyły się z miękkim szcęknięciem. Wtedy młody podniósł się i również skierował ku wyjściu. Wyszedł na szeroki korytarz, gdzie drzwi po lewej stronie prowadziły do kajuty, po prawej - do salonu, a dalej znajdowało się wejście do pomieszczeń generatorów i aparatury.

Młodszy podszedł do drzwi, za którymi mieściła się kajuta. Zatrzymawszy się nasłuchiwał. Za drzwiami rozległy się niezrozumiałe dźwięki. Dźwięki te były pieśnią, pieśnią tak starą, że można się było jedynie dziwić, jak to się stało, że jeszcze nie rozsypała się ze starości. Widocznie tylko pamięć nielicznych długowiecznych spinała jeszcze jej nuty.

W pierwszej chwili młodemu wydało się, że to śpiewa kapitan. Ale głos umilkł, rozległ się

jakiś szmer i stało się jasne, że to zapis.

Młodszy zapukał. Cisza. Pchnął drzwi. Jak się okazało, nie były zamknięte. Wszedł. Twarzą do niego siedział nieznajomy. Był to bardzo stary człowiek, oczy jego zdradzały zmęczenie: nie to mijające zmęczenie po ciężkich godzinach czy dniach, lecz utratę sił wywołaną przez wiek. Skóra twarzy ściągnęła się w zmarszczkach, kąciaki wykrzywionych w grymasie ust były opuszczone.

W następnej chwili starzec podniósł oczy, wyciągnął rękę, a jego usta wykrzywiwszy się w grymasie gniewu wyrzuciły:

- Precz!

Młodszy nie rozumiał, obejrzał się.

- Precz stąd !

Wtedy młodszy rozumiał; odwrócił się i wyszedł czerwieniejąc ze wstydu, bezsilności i gniewu. Zamykając drzwi mimo woli znów obrócił się twarzą do kajuty. Akurat w tej właśnie chwili starzec znów stał się kapitanem; mięśnie jego twarzy napięły się z wysiłkiem i zastygły w zwykłym, obojętnym i grzecznym wyrazie.

Młodszy wszedł do salonu i rzucił się na łóżko. Wszystko na nic. Poczynając od tej rozmowy na Ziemi... Powiedziano mu wtedy:

Pańska jedyna szansa to lot ze Starcem.

- Z jakim starcem? - nie rozumiał.

Jest tylko jeden Starzec. Zrozumiał i Powiedział tylko:

- O-o!

- Tak. Jego statek wyposażony jest w maksymalną ilość . potrzebnej panu delta-aparatury. W inny sposób nie możemy panu pomóc. Jeśli się pan zgadza, proszę przyjść jutro rano. odwiedzi nas Starzec, to porozmawiamy.

Dokładnie tak powiedział: odwiedzi. A sposób, w jaki to zrobił, i wyraz jego twarzy

świadczyły, że w zgodę Starca w ogóle nie wierzy.

Starzec nie wydawał się wtedy wcale stary. Spojrzenie jego jasnych oczu było uważne, szorstka skóra ściśle przylegała do policzków, podbródka i szyi, a ruchy mężczyzny wyróżniały się precyzją. Zebrało się wiele ludzi mówiących jeden przez drugiego.

- Nie - powiedział Starzec odpowiadając komuś. - Co najwyżej herbaty.

Głos jego był cichy.

- Tak - obrócił się w drugą stronę. - Sądzę, że Garden nieźle sobie z tym poradził. Ja? Nie, do tego miejsca dotrę w nadprzestrzeni. Dalej polecę normalnie.

Potem ktoś zapytał go:

- A jak tam pańskie Żurawie?

Starzec wypił łyk prawie czarnej herbaty, na moment zamknął oczy i odpowiedział:

- Nijak.

Głos jego wcale się nie zmienił, a jednak odpowiedź była jak uderzenie topora: widać rozmowa zahaczyła o coś, o czym Starzec nie chciał mówić.

Kiedy przekazano mu prośbę młodszego, zaproponował:

- A cóż ja? Ja nie mam nic wspólnego ze Służbą Nowych.

- On nie będzie panu przeszkadzać.

- To nie dowód - powiedział Starzec i obrócił się twarzą do młodszego. - To on? Co pana interesuje oprócz Nowych?

- Nic - odpowiedział młodszy.

- Dobrze - powiedział Starzec tonem, którym równie dobrze mógł powiedzieć "niedobrze".

Pomilczał chwilę i dodał:

- Nie mogę nic obiecać.

- Ale lecieć może?

- Niech leci.

Poleciał. I kilkumiesięczny lot zakończył się dziś tym, że Starzec wyrzucił go z kajuty.

Zresztą było to jedyne godne uwagi wydarzenie, które miało miejsce w tym czasie. Starzec kierując się sobie tylko znanymi racjami zapuszczał się coraz dalej w pozbawioną perspektyw, z punktu widzenia nauki, pustkę. Dla osiągnięcia celu lotu - wyjaśnienia możliwości wykorzystania delta-pola w charakterze jednego ze środków ochronnych przy wyjściu z lokalnych skrzywień przestrzeni stanowiących projekcję procesów zachodzących w nadprzestrzeni (tak zawile zadanie zostało sformułowane na Ziemi) zapuszczać się tak daleko nie było trzeba. Poza tym zadanie to w istocie zostało wykonane. Starzec osiągnął swój cel ; wydawać by się więc mogło, że czas przystąpić do realizacji drugiego zadania, dla którego leciał młodszy. Ale Starzec jakby zapomniał o tym. Prócz wielu innych zdolności dysponował on, jak się okazało, zdolnością nie słyszenia tego, czego słyszeć nie chciał, a także nie odzywiania się słowem przez dłuższy okres czasu. Ich rzadkie rozmowy urywały się w połowie zdania i mogły być podjęte w połowie słowa.

A dziś Starzec wypędził go. Wypędził za to, że młodszy zobaczył go w takim stanie, w jakim nie powinien widzieć kapitana statku. Teraz jasne, dlaczego Starzec puszcza mimo uszu wszystkie aluzje do Nowych. Żeby młodszy mógł wykonać swoje zadanie, trzeba było prowadzić statek w minimalnej odległości od płomieni Nowej; prowadzić nie dzień, nie dwa, lecz wiele dni - do czasu aż uda się przeprowadzić wszystkie niezbędne obserwacje i pomiary. Na to mogli się zdecydować tylko nieliczni. Starzec był jednym z nich. Mógł tego dokonać, ale nie chciał, gdyż prawdopodobnie rozumiał, że takie eksperymenty już nie dla niego. A więc młodszy leciał niepotrzebnie.

I teraz pozostaje...

Co pozostaje, młodszy nie zdążył ustalić, gdyż rozległo się pukanie do drzwi. Zacisnąwszy zęby młodszy nie odezwał się słowem.

Zapukano jeszcze raz i wtedy - wbrew swej woli odpowiedział.

Otworzyły się drzwi i wszedł Starzec.

- Przyszedłem pana przeprosić - powiedział zatrzymawszy się pośrodku salonu.

Młodszy podniósł się z tapczanu; chwilę stali naprzeciw siebie. Uważne spojrzenie Starca jakby po raz pierwszy powędrowało po ładnych, najnowszego fasonu sandałach, po jasnym sportowym ubraniu, po twarzy pokrytej mocną, jeszcze ziemską opalenizną, by wreszcie zatrzymać się na niebieskich oczach mężczyzny.

- Chociaż - kontynuował Starzec - muszę panu powiedzieć, że na statkach nie jest przyjęte wchodzenie bez zezwolenia do kapitana.

- Chciałem... - cicho powiedział młodszy.

- Wiem.: - przerwał mu Starzec, a w głosie jego młodszy usłyszał wyrzut. - Zadał pan sobie pytanie, na które chciał pan natychmiast uzyskać odpowiedź. Nie myślę się, prawda? - Po to właśnie szedłem do pana - powiedział młodszy opuściwszy oczy.

- Cieszy mnie to. O co chciał mnie pan zapytać? Proszę. Wiem, że wybuchłem bez powodu.

- Lata... - powiedział młodszy, gdyż to właśnie przyszło mu do głowy, a dotąd jeszcze nie krył się ze swymi myślami. W tej samej chwili zamrugał spodziewając się wybuchu. Ale wybuch nie nastąpił.

- Lata... Bzdury, brednie! - powiedział Starzec. - Niech pan zapomni o tym pojęciu, szanowny Igorze. Ludzie umierają na skutek rozczarowań, a nie upływu czasu. Niech pan sobie stawia mniej celów, a wiek nie będzie miał władzy nad panem.

Spojrzał z ukosa na rozmówcę i uśmiechnął się zauważywszy zdziwienie na jego twarzy.

- Powiedziałem "mniej celów", a nie "mniejsze cele". .Przecież i jeden cel może być taki, że na osiągnięcie go nie wystarczy życia. Ja mam tylko jeden cel.

Zamilkł na moment.

- Ale drobne rozczarowania też mi się zdarzają. No więc ;co pana zainteresowało?

- Ten pulpit. Już dawno pozwolił mi pan zapoznać się z całą delta-aparaturą statku i skorzystałem z tej możliwości. Ale o tym pulpicie - po co on? czym steruje? - nic nie wiem.

- Pozwoli pan, że usiądę? - zapytał grzecznie Starzec. Igor poczerwieniał i pokazał fotel.

- Dziękuję. A propos, mam nadzieję, że nie gniewa się pan na mnie za to, że mieszkam w salonie? Na statku jest tylko jedna kajuta, a ja przyzwyczaiałem się do niej.

Igor spróbował się uśmiechnąć jak można najnaturalniej. Cudownie. A więc zdziwiło pana to, że nic pan o tym nie wie...

Starzec zamilkł na moment.

- A co pan w ogóle wie o tym statku? O mnie?

Czekał na odpowiedź, ale Igor milczał. Bo cóż naprawdę wiedział - prócz fragmentów legend

- o tym człowieku?

Opowiadano, że człowiek, którego nazwano później Starcem, jeszcze w młodości wyruszył w swą pierwszą podróż i że dotąd z niej nie powrócił, bowiem w czasie miesięcznych, a nawet rocznych przerw między lotami podobno żył tylko myślą o badaniach kosmosu i śniły mu się na Ziemi kosmiczne sny. Był oblatywaczem. O ile jeszcze w niezbyt odległej przeszłości oblatywacze samolotów byli inżynierami, to oblatywacze statków kosmicznych byli niewątpliwie uczonymi.

Ludzie ci wylatywali na coraz szybszych statkach, często w pojedynkę; w pojedynkę, gdyż można było ryzykować stratę większej ilości automatów, ale nie ludzi. Wylatywali i wracali - a niekiedy nie wracali. Starzec wracał, dwa razy nawet nie sam; uratowanym oblatywaczom oddawał swoją kajutę, ale zbliżać się do pulpitu nie pozwalał. Za każdym razem przywoził coraz więcej obserwacji i danych

- w swojej pamięci i w elektronicznej, w postaci fono - i wideo-taśm. I coraz mniej słów, jakby oddawał je przestrzeni w zamian za wiedzę. Upływał czas. Grupa oblatywaczy rzedła. Nie oznaczało to wcale, że ludzie ginęli: najczęściej po prostu przenosili się ze sterówek statków do laboratoriów. Statki zaczęto badać już w procesie ich powstawania. Ale Starzec uporczywie latał. Dawno mógł

osiąść na Ziemi: włóczęc się po kosmosie, w wieku lat czterdziestu stał się już nie zwykłym uczonym, lecz ogromnym autorytetem w dziedzinie kosmofizyki. Mniej więcej wtedy zaczęto go nazywać Starcem. Dowiedziawszy się o tym, zamierzał zrezygnować z kosmosu. Ale po locie, który miał być pożegnalny, przestał mówić o odejściu.

Prawdopodobnie dlatego, że leciały wtedy dwa statki i jeden z nich uległ katastrofie. Od tego czasu upłynęło wiele lat. Starzec jednak latał nadal, a jego imię obrastało w legendy. - Właściwie - powiedział Igor po długim milczeniu - nie wiem nic. Tak, nie wiem. A pan o mnie?

Starzec uśmiechnął się.

- Coś tam w końcu wiem - powiedział.

Igor podążył za jego wzrokiem. Starzec patrzył na mały stolik, na którym obok telefonu stała fotografia. Igor poczerwieniał.

- Poza tym - kontynuował Starzec - nie wiem, czy powinienem próbować wyjaśnić cokolwiek, póki pan sam nie uzna za stosowne...

Igor wzruszył ramionami.

- Ależ o mnie nie ma się czego dowiadywać. Nie zdążyłem niczego osiągnąć, a to, w co się bawiłem w dzieciństwie, chyba pana nie interesuje.

- Niezupełnie. Człowieka charakteryzuje również to, co chce osiągnąć.

Co chce osiągnąć... Igor milczał. Mówić o tym, czego się chce, o najskrytszym pragnieniu, łatwo jest tylko wtedy, kiedy się jest przekonany o życzliwości słuchacza. A czy jego idee zostaną życzliwie przyjęte?

Ale w końcu, czyż sam nie dążył do tej rozmowy? Czy Starzec skieruje statek we właściwą stronę nie dowiedziawszy się wszystkiego?

- Chcę wiele - przyznał się. - Służba Nowych stawia sobie za naczelne zadanie nauczyć się prognozować wybuchy tych gwiazd z odpowiednią dokładnością. Teraz kiedy zasiedlamy nowe

systemy, waga tego zadania wzrasta.

- Szlachetny cel - skinął głową Starzec.

- Wszystko to, co wiedzieliśmy do tej pory, pomagało jedynie w sporadycznych wypadkach.

Samego problemu jako takiego jeszcze nie rozwiązaliśmy.

- I właśnie pan zamierza go rozwiązać? W głosie Starca była tylko życzliwość.

- Pomyślałem sobie, że klucz do rozwiązania problemu mogłoby stanowić dokładniejsze

zbadanie delta-procesów zachodzących w Nowych. Wprawdzie, jak pan wie, pole delta ma niewielki

zasięg i na przykład promieniowanie delta naszego Słońca trudno zarejestrować już na orbicie Ziemi,

ale w wypadku wybuchu Nowej wzrost tego pola, nawet bardzo słaby, mimo stosunkowo dużych

odległości, rejestruje się nawet w Systemie Słonecznym.

Starzec skinął głową potwierdzając, że jest mu to wiadome. - Gdyby udało się otrzymać

charakterystyki delta-promieniowania Nowej - znajdując się w jej pobliżu, aby ograniczyć błąd do

minimum - i porównać otrzymane wielkości z obliczonymi w oparciu o teorię, to uzyskalibyśmy

możliwość przekonania się, czy napięcie delta-pola nie zaczyna wzrastać we wnętrzu gwiazd na

długo przed ich wybuchem. I czy wzrost ten nie stanowi tej właśnie przyczyny, która...

- Zrozumiałem - przerwał mu Starzec. - Dziękuję. Mężczyzna zrobił pauzę. Igor czekał na

ciąg dalszy.

- A poza tym w pańskim wieku badacze zazwyczaj prócz podstawowego zadania stawiają

przed sobą, że tak powiem, "nad-zadanie". Przecież w głębi duszy wszyscy jesteśmy w młodości

geniuszami. Dokładniej, zwłaszcza w młodości. A pan?

Po chwili wahania Igor zdecydował się.

- Delta-pole to podstawowy inicjator życia powiedział. - Dlatego też odkrywamy życie z

reguły na planetach położonych w pobliżu gwiazd. Ale dlaczego pod wpływem supermocnego pola,

takiego jak w wypadku Nowych, życie nie mogłoby rodzić się bezpośrednio w przestrzeni?

- Teraz rozumiem - powiedział Starzec. - A więc to są te naukowe przyczyny, które kazały panu lecieć ze mną?

- Tak.

- No cóż, przywykłem zapoznawać się z nowymi ideami, choć nie zawsze wypierają one to, co było przed nimi. Podobnie jak nowi przyjaciele nie zastępują starych. A szkoda zamilkł na moment. - Starzy przyjaciele odchodzą, wszystko jedno, czy są oni ludźmi, statkami czy też hipotezami.

Tak... w moim wieku można się obudzić któregoś dnia i nie zrozumieć świata. Staram się tego uniknąć.

Machnął ręką, jakby odrzucał wszystkie rozważania.

- Co się tyczy pańskiego podstawowego zadania, to jest ono rzeczywiście poważne, choć u jego podstaw leży hipoteza Arno o delta-eksplozjach, dotąd nie potwierdzona obserwacjami. A jeśli chodzi o drugie zadanie... trudno mi cokolwiek powiedzieć, gdyż nigdy nie zajmowałem się takimi problemami. Jednakże wychodząc z tego, co wiem o przestrzeni, mam ochotę zaliczyć pańskie hipotezy do bajek.

Tego Igor się nie spodziewał.

- Niech się pan nie smuci, pasje właściwe są młodości. Jeśli chodzi o mnie, jest rzeczą wątpliwą, bym w swoim wieku zmieniał kurs po to, żeby sprawdzić zasadność pańskich przypuszczeń.

Igor poczuł, że z trudem porusza ustami.

- A więc uważa pan, że w przestrzeni nie może istnieć życie?

- W przestrzeni jest i życie, i śmierć. Ale to nasze życie i nasza śmierć.

Igor zaczął tracić panowanie nad sobą.

- Młodości właściwa jest pasja - powiedział drżącym głosem. - Być może! Za to starości -

bezsilność. Jeśli boi się pan przelecieć w pobliżu Nowej dlatego, że to już nie na pańskie siły, to po co...

Starzec podniósł się i wyciągnął przed siebie rękę każąc Igorowi zamilknąć.

- Gdyby było trzeba - powiedział bardzo spokojnym głosem - przeleciałbym przez Nową, a nie tylko w jej pobliżu. Ale na razie nie widzę podstaw do zmiany kursu. To wszystko.

- Nie, nie wszystko ! - krzyknął Igor. - Pan się boi ! A ponadto...

Ale ostatnich jego słów Starzec uznał za stosowne nie usłyszeć. Potrafił to. Odwrócił się i wyszedł zatrzaskując za sobą drzwi.

Starzec siedział w zwykłej pozie zapatrzonego w ekran. Twarz jego nie wyrażała niczego oprócz gotowości czekania. Cierpliwość - oto czego mu nie brakowało, oto co mu zostało z przeszłości. Siedzi. Patrzy. Miesiącami. Latami.

I o nim to krążą legendy!

Starzec odwrócił się na dźwięk kroków. Brwi jego uniosły się w górę: z pewnością zdążył już zapomnieć, że na statku jest ich dwóch. A może po prostu nie spodziewał się Igora tak szybko?

- Kapitanie!

- Słucham pana.

- Twierdzi pan, że życie w przestrzeni to absurd. A pańskie Żurawie?

Starzec nie śpieszył się z odpowiedzią.

- Przecież mówił pan, że nic pan o nich nie wie.

- Bo też nie wiem. Ale słyszałem co nieco. Czyż pańskie Żurawie to nie życie?

Starzec pokręcił głową.

- To tylko zjawisko przyrody.

- Dlaczego więc to Żurawie? - nie dawał za wygraną Igor. - To długa historia. I stara. Ale z ziemskimi ptakami, tymi samymi, które najwyraźniej obserwował pan z kimś nie tak dawno, nie

mają nic wspólnego.

Igor mimo woli westchnął.

- Tak - wymamrotał Starzec. - W takich wypadkach zazwyczaj przychodzą na myśl Żurawie.

Proste skojarzenie myślowe. Odlatują, unoszą... Kiedy przylatują, nie są takie zauważalne. .

- A pańskie Żurawie też odleciały?

- I uniosły. Przecież już mówiłem: starzy przyjaciele odchodzą. Mało tego: pozostawiają po sobie nie wykonane zadania, a czasami nawet wysuwają nowe.

- Przypominam sobie... Było tam coś związanego z awarią statku.

- Coś? - powiedział z gniewem Starzec. - Takie rzeczy powinno się znać w najdrobniejszych szczegółach! To doświadczenie pionierów, skarbnica gwiazdnej żeglugi !

- Przecież ja mam zupełnie inną specjalność. Kończyłem nie Moskiewski Gwiezdny, a...

- To nie ma znaczenia. Skoro już pan poleciał...

- Poleciałem tylko ze względu na problem Nowych! Ale dla pana widać znacznie ważniejsze są Żurawie.

- Owszem. Są ważniejsze. Igor opamiętał się.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział. - Powinienem był się domyślić. Oczywiście, skoro to się wiąże z katastrofą statku... Pan miał na myśli kogoś, prawda?

- Kogoś to zbyt mało powiedziane. Miałem na nim przyjaciela. Najlepszego przyjaciela.

Teraz pański przyjaciel może pozostać na Ziemi, a mimo to będzie pan mógł go zobaczyć i usłyszeć.

Inna łączność! I jeszcze jedno: teraz chroni pana w przestrzeni potężne pole, które uczyniło nasze statki praktycznie niezniszczalnymi. A wtedy przyjaciele musieli być razem, obok siebie. Chroniła nas przyjaźń. Wtedy właśnie powstała metoda lotów parami: szły od razu dwa statki.

- Przypomniałem sobie - powiedział Igor. - Pan tam był !

- Byłem.

- Na "Sogdianie".

- Znow pan wszystko pokręcił. Leciałem na "Galileuszu". Teraz to już zgrzybiały staruszek - powiódł ręką po krótkich włosach. - Statek klasy "Beta-0,5". Lecieliśmy ku Eurydyce, aby zdać statki dalekiemu zwiadowi i wrócić kursującą regularnie na tej trasie rakieta pasażerską. Czasami wydaje się to bardzo pociągające: móc podróżować w charakterze pasażera. Już sobie wyobrażaliśmy, co to za przyjemność... Byłem na "Galileuszu", tak... A na pokładzie "Sogdiany" znajdował się mój przyjaciel. "Sogdiana" dysponowała mocniejszymi silnikami...

"Sogdiana" dysponowała mocnymi silnikami i pewną ochroną. Mogła szybciej przyspieszać i wkrótce wyprzedziła "Galileusza". Oczywiście było to naruszenie zasad lotu w parze, ale "Sogdiana" była oczekiwana z niecierpliwością na Eurydyce - planecie w systemie odległej gwiazdy - na której mieściła się wtedy najbardziej wysunięta baza dalekiego zwiadu:

W dniu, w którym odległość między statkami osiągnęła półtora miliarda kilometrów i łączność, w tych czasach jeszcze niedoskonała, powinna była ulec zerwaniu, pilota "Galileusza" jak zwykle w takich wypadkach ogarnął smutek. W kosmosie zawsze robi się człowiekowi smutno, kiedy ulega zerwaniu łączność, nawet jeśli nie na zawsze. W ślad za przyjacielem zostały wysłane tradycyjne pozdrowienia i życzenia czystej przestrzeni. Odpowiedź powinna była nadejść po trzech godzinach. Tymczasem już po półtorej godzinie nadeszło wezwanie o pomoc. "Galileusz" zwiększył prędkość do maksimum nie przestając wysyłać w przestrzeń słów otuchy - wszystkiego, czym mógł w tej chwili pomóc. Ale słowa potrzebowały czasu na to, by dotrzeć do "Sogdiany", zabrzmieć w sterówce, zamienić się w inne słowa i wrócić, na razie natomiast do "Galileusza" docierały słowa wypowiedziane wtedy, gdy pilot statku, który uległ katastrofie, nie miał pewności, czy go słyszą.

Wysoki głos brzmiał niezwykle sucho, informował, że stała się rzecz najstraszniejsza - wyszły spod kontroli i zaczęły tracić moc generatory pola-delta. A delta-pole izolowało antymaterię znajdującą się w kontenerach paliwowych "Sogdiany". Była to nowość, bowiem do tej pory wszędzie

wykorzystywano w tym celu pole elektromagnetyczne. Przyczyna awarii pozostała niejasna, choć pilot wysunął kilka przypuszczeń. Dowódca "Galileusza" stanowiący jednocześnie całą jego załogę tylko zaciskał zęby: dlaczego on nie poleciał

"Sogdianą"? Zwyczaj wybierania zawsze słabszego statku tym razem obrócił się przeciw niemu; ale przecież delta-generatory badano niejedyn raz i wydawały się one całkiem bezpieczne.

Zwiększył szybkość, choć strzałki wskaźników urządzeń ochronnych znajdowały się już na czerwonej kresce. Potem głos zmienił się, powiedział. "Słyszę cię, wiem, że zdążysz, zdążysz... Ja..." Na tym meldunek urwał się. wytrenowany umysł podpowiedział, że automaty ochronne pozbawione urządzeń delta próbowały uratować statek przez wytworzenie w kontenerach z antimaterią izolacji elektromagnetycznej. Aby uzyskać niezbędną ilość energii, wyłączyły wszystko, bez czego statek mógł żyć - w tym także aparaturę łącznościową.. Teraz "Sogdiana" walczyła w milczeniu.

Otrzymany ze "Sogdiany" meldunek pomógł uściślić odległość między statkami. Okazała się ona mniejsza, niż sądzono, i trzeba było zacząć hamowanie. Zmniejszanie prędkości teraz, gdy liczyła się każda sekunda, wydawało się nonsensem, ale pilot dobrze wiedział, jak wielu zginęło gnając do ostatniej chwili na złamanie karku, a potem ostro hamując i wystawiając się na działanie zakazanych przeciążeń. Pamiętał dobrze tragedie, jakie się rozgrywały, gdy śpieszące na pomoc statki wyprysnąwszy z otchłani przestrzeni zatrzymywały się w wyznaczonym punkcie. Rozbitkowie w skafandrach i kurtach rzucali się pod osłonę opancerzonych burt, pragnąc jak najszybciej skryć się we wnętrzu, ale statki pozostawały obojętne na próby dostania się do zamkniętych na głucho komór wejściowych i rozbitkowie odchodzili od zmysłów nie wiedząc, że wspaniałe pojazdy niosą martwą, zabita przez własną nieostrożność załogę i nie ma kto otworzyć luków. Pilot "Galileusza" znał dobrze możliwości swoje i maszyny. Zauważył kropkę "Sogdiany" na wideoe ekranach w spodziewanym czasie. Do spotkania pozostały już tylko minuty. I wtedy właśnie kapitan zobaczył, że ciemne ciało gwiazdolotu przekształciło się w jasną gwiazdę.

- Widział pan może wybuch anihilacyjny w przestrzeni zapytał Starzec. - Nie? To nieprzyjemny widok, zwłaszcza wtedy gdy eksploduje statek, a na statku tym leciała... leciał twój przyjaciel. Było to nieznośnie białe światło. Płonęło ono wszystkiego ułamek sekundy, później bezpieczniki wideodbiorników wyłączyły się. Ale i tak zdążyłem oślepnąć.

Igor skinął głową. Nie wiedział, co powiedzieć. Chyba głupio byłoby wyrażać współczucie z powodu historii, która wydarzyła się Bóg wie ile dziesięcioleci temu.

- Tak - powiedział w końcu - eksplozje anihilacyjne to straszna rzecz.

Starzec popatrzył na niego chyba z żalem. W każdym razie westchnął.

- Słusznie - stwierdził po chwili milczenia. - "Sogdiana" przekształciła się w energię. Nie był to pierwszy wypadek eksplozji statku w przestrzeni, ale jedyny, jaki człowiekowi udało się zobaczyć, a przyrządom - zarejestrować. Do tej pory przyczyny pozostały nieznane: a przecież już wtedy nie zdarzało się, by przyrządy odmówiły posłuszeństwa.

W pierwszej chwili nie rozumiałem, czym to grozi. Zbyt wielka była moja gorycz. A przecież gdybym był w tej chwili w stanie trzeźwo myśleć, pojąłbym, że wypadek ten przekreśla wszystkie moje nadzieje na skuteczność delta-ochrony. Lotom kosmicznym zagroził kryzys.

Jedynym wyjściem było odkrycie konkretnej przyczyny wybuchu, przyczyny materialnej, którą można byłoby przeanalizować, zrozumieć i zneutralizować. Ale mnie wtedy, jak się pan domyśla, nie w głowie było szukanie przyczyn. Kiedy otworzyłem załzawione po wybuchu oczy, wideodbiorniki znów pracowały, ale nie było już na co patrzeć.

Igor wstrząsnął ramionami, gdyż nagle zrobiło się mu zimno.

- I wtedy - powiedział Starzec - zobaczyłem to. Nabrał tchu.

- Zobaczyłem... Czy widział pan, jak lecą żurawie klinem, prawda? Taki właśnie klin zobaczyłem na ekranach: Właściwie nie zobaczyłem nic. Zauważyłem jedynie, że nagle zniknęły niektóre gwiazdy. Potem znów się pojawiły. Czym było wywołane to zaćmienie, nie wiedziałem. Ale

słowo honoru, wydało mi się, że przestrzeń porwała się w miejscu na strzępy i teraz wolno się sklejała. Myśl ta nie wydała mi się idiotyczna, była ona jak dotknięcie czegoś nowego, nieznanego, tajemniczego. Człowiek miewa czasami takie uczucie. Ale pan z pewnością nie wie, co to takiego.

- Wiem - odezwał się Igor. Pomyślawszy chwilę Starzec kiwnął głową.

- No cóż, niewykluczone. To wszystko, co udało mi się wtedy zauważyć. Ani przez wideoodbiorniki, ani w paśmie infraczerwieni nie byłem w stanie dostrzec niczego prócz tego krótkotrwałego; prawie błyskawicznego zaćmienia niektórych gwiazd. Potem ponownie włączyłem silniki, obleciałem rejon katastrofy i niczego nie odkrywając ruszyłem do domu. Dopiero tam, wywoławszy film, dostrzegłem Żurawie.

Brwi Igora drgnęły, nie uszło to uwadze Starca.

- Nie, nie przejęczyłem się: Żurawie. Nie będziemy kontynuować dyskusji. Szerokie czarne płaszczyzny zupełnie czarne płaszczyzny, które najwidoczniej pochłaniały padające na nie promieniowanie i przez to nie można ich było dostrzec. Na szczęście na tle skupiska gwiazdowego widać było przynajmniej ich zarysy.

Żurawie wydawały się zupełnie czarne i dwuwymiarowe, jakby w ogóle nie miały grubości. Powierzchnia każdego z nich wynosiła kilkadziesiąt, kilkaset, jeśli nie kilka tysięcy metrów kwadratowych.; na podstawie osiadanych kadrów r nie dało się ustalić odległości między żurawiami a statkiem, dlatego też były różne opinie o ich wielkości. Żurawie leciały w klinie; zresztą kto wie, czy nie w stożku - zdjęcie nie było stereoskopowe.

Później, porównując z filmem zapisy, których dokonały inne przyrządy, odkryliśmy ślady pozostawione przez to zjawisko na taśmie przystawki deltawizora. I wtedy stało się jasne, że Żurawie emitują określone kwanty, a konkretnie delta-kwanty. Porównując oba zapisy - filmowy i delta usiłowaliśmy pojąć, czym są te płaszczyzny przesłaniające gwiazdy. Nie ulegało wątpliwości, że poruszają się one, ale na świecie nie ma rzeczy nieruchomych, a nie udało nam się określić prędkości

i obliczyć ich orbity.

W ten właśnie sposób po raz pierwszy zetknęliśmy się z Czarnymi Żurawiami. Tak je wtedy nazwał ktoś z dalekiego zwiadu - z powodu barwy i styku w kształcie klina.

Starzec umilkł, z pewnością raz jeszcze przeżywając to, o czym opowiadał. Igor czekał nie mogąc się zdecydować na naruszenie tego milczenia: chciał usłyszeć coś więcej, ale rozumiał, że teraz kiedy Starzec pogрузzył się w rozmyślaniach, jedno niewłaściwe słowo wystarczy, aby rozmowa została przerwana na długo. Pauza przeciągała się.

- Tak, to właśnie była ta zagadka, którą pozostawił po sobie mój przyjaciel. Ku przestrodze początkującym...

W głosie zabrzmiała ironia, która tym razem odnosiła się do jego własnej, niezwykle dlań gadatliwości, a być może po prostu stanowiła środek mający zapobiec ostatecznemu rozklejeniu się.

- Zagadka śmierci, jak się to kiedyś mówiło. Powstało wiele hipotez, wysunięto wiele przypuszczeń, ale wskazania deltawizorów udowodniły tylko jedno: że to właśnie one. Żurawie, są zabójcami.

- Ale przecież jeśli to tylko zjawisko przyrody...

- Ależ nie... Źle się wyraziłem... Oczywiście, że to nie one; zabójcą w większości takich wypadków bywa nasza własna nieznajomość praw przyrody. Ale człowiek nie może winić się za to, że czegoś jeszcze nie wie. Gdyby to robił, ludzkość wiecznie czułaby się winna. Przecież i życie, i śmierć to także naukowe problemy. Zresztą jak by tam nie było, nieszczęście, które miało miejsce, pokazało, czego muszą się wystrzegać statki dysponujące delta-ochroną. Kiedy tylko ciało to mam tu na myśli stado Żurawi - zostanie wykryte, a wykrycie go to nic trudnego nawet dla tych urządzeń delta, w które wyposażone są zwykłe statki, kapitan powinien bez zwłoki zrobić wszystko, by przejść w jak największej odległości od stada. A co się tyczy zabójców, to Żurawie były nimi w takim samym stopniu, w jakim zabójcą jest piorun spalający dom z ludźmi. Chociaż oczywiście i piorun można nienawidzić.

Starzec powiedział to tak, jakby stawiał kropkę nad "i".

Ale najwidoczniej wydało mu się, że opowieść nie zrobiła na słuchaczu właściwego wrażenia, gdyż dodał:

- Teraz już pan wie, dlaczego włączę się po tych peryferiach Wszechświata?

Igor odpowiedział nie od razu, widać zbierał myśli.

- Przede wszystkim - powiedział w końcu - jest dla mnie rzeczą jasną, że każdy z nas ma swoje zainteresowania i że są one krańcowo różne.

Wątpliwe, by Starzec spodziewał się, że rozmowa przybierze taki obrót. Mimo to nie okazał ani zdziwienia, ani potępienia. Spojrzał tylko wyczekująco na Igora.

- To, co pan powiedział, jest bardzo interesujące i nie mogę nie szanować pańskich uczuć.

Ale problem Żurawi jako taki wydaje mi się wyczerpany. Brak mu perspektyw. W gruncie rzeczy pozostaje tylko je odnaleźć i zbadać ich budowę. Jeśli mam być szczery, to dziwi mnie, że nie zrobił pan tego do tej pory.

- Do tej pory - odpowiedział Starzec - trzeba było wypróbować statki, że nie wspomnę już o innych rzeczach. Zajmować się bardziej aktualnymi badaniami. Poza tym myli się pan przypuszczając, że to takie proste. Niech pan spróbuje odnaleźć je w przestrzeni! Po dziś dzień zależy to od przysłowiowego łutu szczęścia. Brak nam danych o ich orbitach, nie wiadomo nawet, czy poruszają się po orbitach, gdyż nikt nie wie, czy są ciałami. Jeśli nie są, mogą w ogóle nie mieć orbit i poruszać się po prostej jak energia. Ale jeśli nawet orbity istnieją, nie można ich obliczyć : brak danych. Oddziaływując na siebie z innymi polami czy też ciałami - a wydaje się to nieuniknione

- Żurawie podlegają tyłu wpływom, że jest rzeczą bardzo wątpliwą, czy można w ogóle mówić o orbitach w normalnym znaczeniu tego słowa. I jeśli na Ziemi uczony z góry wie, gdzie można zobaczyć żurawie, a gdzie szanse na to równe są zeru, to ja przez cały czas działałem po omacku.

- Nigdy więcej ich pan nie spotkał?

- Raz... Wtedy nie miałem jeszcze tego statku. Skonstruowałem delta-pułapkę na wypadek spotkania z nimi i zainstalowałem ją na "Łomonosowie", na którym wtedy latałem. Włączyłem się nim po kosmosie dwa lata. Program badań bliski był zakończenia, kiedy poszcęściło mi się natknąć się na Żurawie. Zbliżyłem się do nich i wyrzuciłem pułapkę, innymi słowy, wytworzyłem mocne ładunki, których statyczne pole...

Igor kiwnął głową skupiając uwagę na informacjach o wektorze napięcia, superpozycji pól i innych sprawach odnoszących się do pułapki. Później udało mu się wtrącić kilka słów:

- Ale nie udało się panu?...

- Przecież mówię: pod wpływem działania pola Żurawie powinny były wytracić szybkość. I dzięki temu jedna z płaszczyzn wpadła do pułapki. Krzyczałem z radości, dopóki nie przekonałem się, że moc moich urządzeń okazała się niewystarczająca. Ciało udało się wyrwać, a ściślej przeszło ono przez pułapkę jak przez pustkę. Postarzałem się tego dnia - a dokładniej w chwili, kiedy zrozumiałem, że uchodzą. Dogonić ich nie mogłem, prędkość "Łomonosowa" w porównaniu z dzisiejszymi statkami była niewielka. Żurawie bezdźwięcznie przelatywały obok statku... Słowo honoru, było w tym coś mistycznego. Tak, człowiek starzeje się tylko na skutek rozczarowań.

- Tak... - zgodził się Igor.

- Ale nawiasem mówiąc, właśnie wtedy udało mi się udowodnić, że Żurawie nie mogą być jedynie ruchomymi elementami przejścia, innymi słowy - projekcją jakichś wydarzeń, mających miejsce w nadprzestrzeni, na nasze czterowymiarowe kontinuum. Były bowiem i takie hipotezy dotyczące natury Żurawi. Po tym wydarzeniu stało się jednak jasne, że Żurawie to zjawisko mające związek tylko z naszą przestrzenią. A to już coś.

- A czy widział je ktoś jeszcze oprócz pana?

- Oczywiście. Za pierwszym razem trudno je zobaczyć, dopiero kiedy wiadomo, czego należy się spodziewać, ludzie starają się wykorzystać każdą możliwość. Mam zapisy wskazań

przrzędów, raporty kapitanów statków... Ale nie wnoszą one niczego nowego. Tak że poznać trzeba jeszcze wiele rzeczy; do wyczerpania problemu, jak się pan wyraził, jeszcze daleko.

- Mimo to sądzę, że przed tym problemem nie ma przyszłości. Nie wątpię, że zostanie on rozwiązany, pan wszystko zbada i opisz. Ale co dalej? Nic. A ja chcę iść dalej. I zagadnienia mnie interesujące mogą wybiegać daleko w przyszłość. Tak czy inaczej nasze zainteresowania są krańcowo różne.

- Jest pan tego pewny?

- Owszem. Zbyt odległe dziedziny. Mnie interesują Nowe, pana - Czarne Żurawie. Żadnych punktów wspólnych. Poza tym ja mam przed sobą praktyczny cel: znalezienie możliwości prognozowania wybuchu. A jakie praktyczne znaczenie mogą mieć Żurawie?

- Nie jestem przedstawicielem nauk stosowanych powiedział Starzec - ale w zasadzie nie można sobie wyobrazić czegoś, czego człowiek nie potrafiłby wykorzystać. Jeśli w przyrodzie są rzeczy dla nas bezużyteczne, to tłumaczyć to należy tylko niskim poziomem naszej wiedzy o niej. A to znaczy, że postępuję słusznie.

Igor wzruszył ramionami.

- Już nie liczę na to - powiedział - że zmieni pan kurs i pójdzie ku Nowej.

- I dobrze pan robi. Gdybym nie miał innych powodów, wystarczyłoby mi to, że nie znajdę tam Żurawi: zbyt silne delta-tło, nieuniknione kłopoty.

- Rozumiem. Ale ja przecież nie mogę siedzieć tyle czasu bez pracy!

- Czyżby nie miał się pan czym zająć? Nie sądzę, by zdążył się pan zapoznać w wystarczającym stopniu z całą delta-aparaturą statku. Niech pan ją poznaje, kiedyś się to panu przyda; jeśli nie zrezygnuje pan ze swoich zamierzeń.

Igor uśmiechnął się.

- To mi nie grozi. Ale poznawanie aparatury to trochę za mało.

- A czego panu jeszcze trzeba? Niech się pan zajmie swoimi teoriami. Lepszych warunków do pracy nie znajdzie pan nigdzie. Ma pan do swej dyspozycji całą cybernetykę. - Swymi teoriami zajmuję się i bez cybernetyki.

- W takim razie doprawdy nie wiem... - Starzec rozłożył ręce.

- Nie umiem kierować statkiem. Starzec zachmurzył się.

- Miliony młodych ludzi nie potrafią kierować statkiem.

- Ale ich tu nie ma, a ja jestem.

- No i co z tego?

- Dysponując określonymi nawykami w razie potrzeby mógłbym panu pomóc.

- Dziękuję za dobre chęci - odparł chłodno Starzec - ale ja już dziesiątki lat latam sam i jak dotąd nie był mi potrzebny drugi pilot.

- Jednakże obaj mamy sporo wolnego czasu i gdyby zechciał pan mi pomóc...

- Oczywiście po to, żeby pewnego pięknego dnia obudzić się i stwierdzić, że statek leci w stronę Nowej.

- Naprawdę pan tak pomyślał?

- Myślę, że nie jest pan jeszcze wystarczająco dojrzały, by zawsze zdawać sobie sprawę ze wszystkich swych postępów... i hipotez.

Igor podniósł się.

- Nie ma mi pan nic innego do powiedzenia? Starzec westchnął.

- Niech pan poczeka...

Mocno potarł czoło. Jak we wszystkim, co dotyczyło kosmosu, tak i w psychologii lotu orientował się o wiele lepiej niż ten chłopiec i dobrze znał wszystkie nieszczęścia, którymi groziła powstała sytuacja.

Napięcie, kiedy wydało mu się, że zbliżają się Żurawie, sprawiło, że nie zachowywał się tak

jak zwykle. Takie napięcie winno być rozładowywane... Zamiast stożka Żurawi los podsunął mu wtedy zwykłą kometę, okruchy skał lecące z dala od ciał niebieskich. Na moment rozkleił się. Pod rękę nawinął się chłopiec i został zwymyślany...

A chłopiec? Zarzucił mu tchórzostwo. Jemu! Oczywiście chłopiec też się zdenerwował. Tyle czasu bez pracy... No to po co leciał?

A po co go brałeś?

Wziąłem i tyle. Miałem powody... Wszystkiego nie zabierze się ze sobą, powinien zostać ktoś, komu można zaufać... Szkoda, że nic z tego nie wychodzi. Chłopca interesują Nowe, ciebie nie. Masz rację, bo jesteś starszy i masz mniej czasu. Chciałbyś oczywiście latać, ale statystyka nie daje ci na to wielkich szans.

Wściekłość człowieka ogarnia, gdy pomyśli sobie, że do kierowania statkiem trzeba dopuścić drugą osobę i że ma to zrobić on, który nie dopuszczał do sterów przyjaciół, wspaniałych, pierwszorzędnych pilotów, pilotów ekstraklasy. Tym niemniej... Jeśli nie da się chłopakowi pasjonującej pracy, wybuchnie otwarty konflikt. Chłopak nie będzie się hamować, bo nie wie, co to takiego. A ty wiesz.

Wrogość dwóch ludzi, przedstawicieli różnych pokoleń, zamkniętych w małym statku i rzuconych tam, skąd dostać się na Ziemię można jedynie przez nadprzestrzeń. Wrogość na miesiące, a być może i lata. Tak, wyjścia nie ma. Starzec raz jeszcze westchnął i powiedział:

- Dobrze.

Igor podniósł oczy, była w nich radość.

- Dobrze. Ale pod jednym warunkiem: obieca mi pan, że bez mojej zgody nie zmieni pan kursu statku nawet wtedy, gdy nauczy się pań to robić.

Igor powiedział:

- Obiecuję.

- Umie się pan posługiwać stereomapą?

- Nie za bardzo - przyznał się Igor.

- A więc zacznij pan od mapy. Jutro.

- Kapitanie! Dziś!...

Kapitan ledwie zauważalnie uśmiechnął się.

- Niech będzie dziś.

Dziś po raz pierwszy zasiadł w fotelu. W najważniejszym fotelu na statku, gdzie kapitan, pilot i inżynier to jedna i ta sama osoba. Tylko nie pasażer. Tak że można wyobrazić sobie, że jest się kapitanem. Pierwsza lekcja już zakończona. Coś niecoś o mapie, coś o warunkach pilotowania, trochę o urządzeniach sterowniczych. Do zamkniętego drugiego pulpitu nie ma na razie dostępu, ale to pulpit potrzebny tylko Starcowi.

Siedź, kapitanie. Przed tobą, na ekranie, widoczny jest Wszechświat. Jego zakątek. Nie ma w nim Nowej. Ale jeśli odrobinę obrócić statek, tak by centralny wideoodbiornik, patrzył o tu, w ten punkt, to w kącie ekranu pojawi się Nowa.

Igor pokręcił głową. Odwrotu nie będzie. Nie będzie i tyle. Ale kiedyś, potem...

A na razie można sobie pomarzyć, przedstawić wszystko na papierze.

Plik papieru przyciśnięty zaciskami leżał z brzegu. Igor ostrożnie wyjął jedną kartkę, położył ją przed sobą i wyjął ołówek. Oto one, szlaki wiodące ku Nowym. Ręka wykreślała je tyle razy - i wszystko na nic, gdyż statek nie polecą żadnym z tych kursów. Wykorzystajmy jednak posiadane informacje i zobaczmy, jak to będzie wyglądać na stereomapie.

Igor nacisnął wyłącznik i mapa rozjarzyła się. Mapa była płaska, ale ze stereoe efektem: miało się wrażenie, że człowiek patrzy w głąb przestrzeni. Igor ocenił na oko, jak będą na niej wyglądać linie.

W następnej chwili wzdrygnął się; nie przypuszczał, że jego wzrok dysponuje magiczną siłą.

Bo w jaki inny sposób nakreślone przez niego na papierze linie mogłyby się znaleźć na tej mapie?

Wpatrzył się w jedną z linii. Została ona naniesiona ołówkiem - innym ołówkiem, nie jego.

Nad linią widniała data i słowo "Diofant". Co ma z tym wspólnego "Diofant"? Igor wyteńczył pamięć i przypomniał sobie, że już kiedyś słyszał o takim statku. Obok drugiej linii również znajdowała się data - już inna - a przy niej widniała nazwa, co prawda innego statku. A pozostałe linie? Okazało się, że i one opatrzone są takim samym niezrozumiałym komentarzem.

Co to ma znaczyć?

Raz jeszcze porównał linie znajdujące się na mapie ze swoimi, narysowanymi na kartce, raz jeszcze wprowadził poprawkę. Nie, nie pokrywały się one ze sobą całkowicie, ale różnica nie przekraczała dwóch-trzech stopni. To naturalne, przecież kreślił je z pamięci. Przyjrzyjmy się lepiej mapie. Tak... I te linie, jeśli je przedłużyć, nie zakończą się na Nowych, ale przecież przebiegać będą w niewielkiej odległości od nich.

Jaki z tego wniosek?

Igor natychmiast zrozumiał, jaki z tego wniosek. Nie wypuszczając z rąk kartki papieru i ołówka obrócił się na pięcie i wybiegł ze sterówki. Wpadł jak bomba do kajuty; zdziwiony Starzec podniósł głowę, ale nie odezwał się słowem, czekał.

- Niech pan mi powie, dowódcu - zaczął Igor głosem ochryłym ze zdenerwowania. - Te linie na mapie... one pokazują kierunek lotu Żurawi. Wtedy kiedy spotykały je inne statki, zgadza się?

- Tak.

- A czy nie wydał się panu interesujący fakt, że linie te, jeśli je przedłużyć, we wszystkich wypadkach przejdą w pobliżu Nowych? Wydaje mi się, że tu można mówić o prawidłowości!

- Przypuśćmy.

- Czyżby nie próbował pan w oparciu o ten fakt zbudować...

- Ciekawe. A co by pan w oparciu o ten fakt zbudował? Igor aż rozłożył ręce ze zdziwienia.

- Przecież wnioski aż się same proszą! A propos, potwierdzają one w całej rozciągłości pańską hipotezę! Takie zgęszczenia materii rzeczywiście mogły powstać w wyniku wybuchu Nowych! Jak pan mógł się nad tym nie zastanowić!? Przecież jeśli za każdym razem stado leci od strony Nowych...

Kpina w oczach Starca kazała mu zamilknąć. Igor zamilkł więc nie opuszczając jednak podniesionej w stanowczym geście ręki.

- Chłopcze... - powiedział Starzec ni to ze współczuciem, ni to z ironią. - Mój drogi chłopcze, znów się spieszysz. Mówiłem ci. Czekać, trzeba umieć czekać. I nie śpieszyć się z uogólnieniami. Na jakiej podstawie doszedłeś do wniosku, że Żurawie uciekają od Nowych, a nie lecą ku nim?

- Przecież na mapie kierunek ich lotu został wyraźnie zaznaczony!

- Owszem. Ale z tego, że widnieją tam daty i nazwy statków, z których pokładów prowadzono obserwacje, należało wyciągnąć jedynie pośredni wniosek, który ty zignorowałeś.

- Jaki?

- Z punktu widzenia obserwatora znajdującego się na pokładzie statku Żurawie rzeczywiście leciały od strony Nowej. Ale to wcale jeszcze nie znaczy, że odległość między Nową a Żurawiami zwiększyła się. Mogło to być - i było następstwem tego prostego faktu, że statek lecąc równoległym lub prawie równoległym kursem miał szybkość większą aniżeli Żurawie i dla obserwatora Żurawie były z każdą chwilą dalej od Nowej niż statek. Ten właśnie względny ruch uwidoczniono na mapie, gdyż obserwacje, jak się to zwykle robi, prowadzono i rejestrowano w systemie koordynat statku.

Gdyby natomiast przenieść je w system koordynat Nowej - a właśnie tak powinniśmy postąpić - to okaże się, że Żurawie wcale nie oddalają się od gwiazdy, a zbliżają się do niej. A propos, potwierdza

to także orientacja stożków w przestrzeni. Pan nie zainteresował się ani jednym, ani drugim, tylko od razu zaczął budować hipotezę. I oto wynik...

Igor zrobił się czerwony jak burak. Rzeczywiście, działał jak dyletant. Starzec ma rację, że

robi mu wymówki. Trzeba było pomyśleć jeszcze trochę, a nie od razu biec i niepokoić go nie dokonanym odkryciem.

- Rozumiem... - wymamrotał Igor.

- Niech się pan nie obraża i nie upada na duchu. Objasnienie istoty Żurawi to nie pański cel, więc pańskie rozczarowanie nie powinno być szczególnie duże. Gdyby coś takiego przytrafiło się mnie...

Starzec zamilkł i pokręcił głową bądź to chcąc zaprzeczyć tym ruchem możliwości przytrafienia mu się czegoś takiego, bądź to chcąc wyrazić, jak by mu było wtedy źle. Najwyraźniej chodziło mu o to drugie, bo powiedział:

- Gdyby przytrafiło mi się nawet całkowite obalenie hipotezy - to jeszcze zniósłbym to, bo na ruinach starej narodziłaby się nowa idea. Ale gdybym raz jeszcze spotkał się z Żurawiami i nie mógł nic zrobić, by wykonać swoje zadanie, ostatnie i jedyne, to chyba nigdy więcej nie wyruszyłbym w przestrzeń. Byłoby to moje ostatnie rozczarowanie.

- Dlaczego mówi pan to tak kategorycznie?

- Bo wiem, że nie starczyłoby mi sił na przekonanie samego siebie, że jest sens kontynuować poszukiwania. Igor kiwnął głową; słowa Starca dotyczące rozczarowań świadczyły, jak mu się wydało, o zmianie stosunku dowódcy do niego; było nie było zostali towarzyszami niedoli, przyjaciółmi w samotności, choć przyczyny tej samotności u każdego z nich były inne. Oczywiście na skutek jakiegoś nieostrożnego słowa Starzec mógł znowu skryć się w skorupie milczenia. Mimo to możliwość dowiedzenia się prawie wszystkiego o Żurawicach należało wykorzystać do końca: strach ogarniał człowieka, gdy pomyślał sobie, że jeszcze wiele miesięcy - a być może i lat, gdyż "latająca ryba" na razie nie zbliżała się do Ziemi, lecz oddalała od niej, od Systemu Słonecznego, od zamieszkanego rejonu kosmosu jeszcze wiele czasu trzeba będzie spędzić na nieróbstwie, a to może doprowadzić do rozpaczki nawet o wiele bardziej wytrzymałego człowieka. Dlatego też pytanie

przygotował sobie wcześniej

- Dlaczego mówi pan z takim przekonaniem, że pan je spotka tym razem? Intuicja? Czy też coś bardziej konkretnego?

- Tym razem je odnajdziemy - powiedział Starzec. - Nie mówiłem panu? Otrzymałem wiadomość ze statku patrolowego. Widział je i określił kierunek lotu.

Oczy jego śmiały się, świadcząc, że mężczyzna doskonale wie, czy mówił, czy też nie mówił o odebranych sygnałach. "Nie miałeś do tego głowy, więc nie mówiłem" - zrozumiał

Igor. - Dziękuję za rozmowę - powiedział. - Za krytykę, rozumie się, również.

- Odchodzi pan?

- Pójdę do salonu. Muszę coś jeszcze przemyśleć.

- Niech pan myśli - powiedział Starzec. - Niech pan myśli - powtórzył. - Ale - podniósł palec

- niech się pan nie spieszy z wnioskami. Niech się pan nauczy czekać. Zamykając za sobą drzwi Igor obejrzał się. Starzec siedział w zwykłej pozycji, wzrok jego skierowany był na podwójny ekran, na którym, jak zawsze, nie było nic widać.

"Niech się pan nauczy czekać! Niech się pan nauczy czekać!" Igor powtarzał tych kilka słów na różne sposoby, spacerując po salonie. Panowała cisza, miękki dywan tłumił kroki.

"Niech się pan nauczy czekać!" Ale bywają przecież takie sytuacje, kiedy czekanie jest równie bezsensowne, jak patrzenie na telefon łączności pokładowej i liczenie na to, że mimo wszystko zakłóci on kiedyś ciszę i zadzwoni.

Igor z gniewem spojrział na aparat. Aparat był niemy.

Igor uśmiechnął się. Aparat telefoniczny, pulpit, pułapki na Żurawie... Jak wiele na tym statku mechanizmów, które nie mają nic do roboty, które nigdy nie okazują się użyteczne.

Wewnętrzny telefon nigdy nie zadzwoni, bo ludzie nie mają sobie nic do powiedzenia. A co się tyczy Żurawi... Wzdrygnął się. Rozległa się dziwna melodia: klawesyn zagrał frazę, coś bardzo starego i

rzewnego.

Igor ze zdziwieniem powiódł wzrokiem po salonie. Wszystko stało na swoich miejscach. A klawesynu nie było, bo w ogóle go nie było. Cóż po nim na statku?

Ale melodia pojawiła się znowu.

Wtedy Igor domyślił się. Wyciągnął rękę i nacisnął klawisz na telefonie.

Fraza urwała się. I głos jakby nie należący do Starca powiedział szybko:

- Nareszcie! Niech pan przyjdzie do sterówki!

- Co się stało?

- Niech pan tu przyjdzie!

Otworzył drzwi sterówki i na moment zatrzymał się w progu; wydało mu się, że się pomylił i zamiast do dobrze sobie znanego pomieszczenia trafił w nieskończoną noc.

Światło w sterówce było wyłączone. Migotały jedynie skale przyrządów, a duży jasnoszary ekran deltawizora wydawał się otwartymi drzwiami prowadzącymi w przestrzeń. Znajomy zgodny terkot przyrządów zakłócały teraz głośnie trzaski, jakby ciężkie krople padały na metal.

Trzymając się ręką przepierzenia Igor dotarł do filmoteki i usiadł. Oczy przyzwyczyły się do mroku, a może ekran rozjaśniał się coraz bardziej - widoczny na nim świat stawał się coraz wyraźniejszy i wypukły. Igorowi wydało się, że jeszcze trochę i będzie w stanie bez pomocy przyrządów określać odległość do gwiazd. Oczywiście było to tylko wrażenie.

Kosmos nie był taki, jaki Igor przyzwyczyił się oglądać przez teleskopy czy też na ekranach normalnych urządzeń. Wielkość delta-promieniowania często nie zgadzała się z obserwowaną jasnością gwiazd, a najjaśniejsze latarnie płonęły nie tam gdzie zwykle.

Tylko środek dolnej części ekranu zajmowało coś nieprzeniknienie czarnego.

Igor wyteńczył wzrok i w następnej chwili zrozumiał, że to nie tylko sylwetka Starca.

Starzec milczał, ale jego oddech był niezwykle głośny.

- Co się stało? - zapytał Igor szeptem.

Starzec odpowiedział także szeptem:

- Żurawie.

- Gdzie?

Czarna ręka zarysowała się na jasnym tle ekranu. Długi palec dotknął jego dolnego prawego rogu.

Igor przyjrzał się. Coś tam migotało.

- Jeden? - zapytał szeptem.

- To stożek. Stado.

- Ile do nich?

- Dwa i pół miliona kilometrów. Dziesięć minut.

- Mogę panu w czymś pomóc?

Starzec lekko obrócił głowę.

- Nie. Wezwałem pana po to, aby to pan zobaczył. To warto zobaczyć.

- Tak - powiedział Igor i pochyliwszy się do przodu zaczął się wpatrywać w ekran.

Migocąca kropka stała się jaśniejsza. Jej ruch był niezauważalny dla oka, ale w ciągu tych kilku sekund rozmowy Starca z Igorem mimo wszystko przesunęła się. W ten sposób posuwa się minutowa wskazówka zegarka. Ciężkie krople zaczęły padać szybciej ; odległość między statkiem a Żurawiami zmniejszała się i odbite impulsy delta-lokatora wracały coraz szybciej.

Po dwóch minutach kropka przestała być kropką. Teraz na ekranie widniała migocąca plamka. Leciwała ona, pozostawiając za sobą coraz to nowe gwiazdy. Teraz jej ruch stał się zauważalny dla oka.

- Szybkości są prawie równe - oznajmił Starzec. Kropka przybrała konkretne kształty.

Przeobraziła się w silnie wyciągnięty trójkąt. Starzec zrobił już wszystko, co trzeba.

Delta-generatory pracowały. Kondensatory ładowały się przed pierwszym uderzeniem, które powinno było być najsilniejsze.

Wszystkie zbędne anteny zostały wciągnięte do wnętrza statku. Pole ochronne zwiększało moc, szeroko rozwarte konstrukcje pułapki świeciły teraz dziwnym światłem. Kule z siatki na ich końcach szybko obracały się. Zrywały się z nich zielone płomienie, które rozplływały się w przestrzeni. Kiedy Igor oderwał oczy od kul, zobaczył, że grot strzały zbliżył się. Teraz dopiero było wyraźnie widać, że to nie trójkąt, lecz stożek.

- Mam stereowizory - wyjaśnił Starzec. - Tym razem jestem przygotowany na wszelkie niespodzianki. Wszelkie, poczynając od obserwacji, a kończąc...

Nie dokończył. Uwagę jego przyciągnął jeden z przyrządów. Igor skorzystał z pauzy.

- Mimo wszystko chciałbym panu pomóc. Starzec obejrzał się niezadowolony.

- No to niech pan siada przy pulpicie kontrolnym. Niech pan uważa, żeby generatory nie uległy awarii. I proszę zwracać uwagę na silnik.

Następnie Starzec mruknął coś pod nosem. Igor usłyszał jedynie: "Automat to automat, ale i człowiek...". Najwidoczniej dowódca usprawiedliwiał się przed samym sobą z tego, że do sterów została dopuszczona osoba postronna. Igor odwrócił się i zaczął wpatrywać się w ekran.

- Niech się pan teraz nie wierci. - Nic nie widzę.

- Ma pan nad pulpitem mały ekran. Niech pan go włączy. Od dołu chwyta się za tę rączkę, a nie od góry - Starzec wykrzyknął te słowa z gniewem.

Dopiero teraz Igor pojął, do jakiego stopnia napięte są nerwy kapitana. Już się nie odwracał, zaczął na swym ekranie obserwować zbliżanie się Czarnych Żurawi.

Nadchodziły decydujące minuty. Stożek na ekranach już rozsypał się na pojedyncze plamki.

Rosły one coraz szybciej i szybciej, systematycznie malała odległość.

Rozlegające się w kabinie trzaski zlały się w trel, jasne linie na skalach delta-indykatorów

zapląsały we wściekłym tańcu.

- Uwaga!... - wysokim, przeciągłym głosem krzyknął kapitan.

Igor wstrzymał oddech. Potem zabrakło mu powietrza i szeroko otworzywszy usta głośno westchnął. W tej samej chwili Starzec gwałtownym ruchem - tym ruchem, na który oczekiwanie z pewnością nieraz wywoływało we śnie drżenie jego ręki - przesunął do przodu czerwoną dźwignię.

Igorowi wydało się, że ktoś złapał go za gardło, silnie uderzył w piersi, brzuch, zwałił mu na głowę ciężar. To anteny pułapki rozładowujące kondensatory wyrzuciły w przestrzeń pierwszą gigantyczną porcję delta-kwantów. Strzałki na skalach drżały, a niekiedy zaczynały huścić się na boki, opisując krzywe niczym topór nad głową drwala.

Wymagające w tej chwili najwyższej uwagi urządzenia rozjarzały się to błękitnym, to czerwonym światłem. Przyrządy drżały: delta-pole pułapki już weszło w kontakt z polem stada Żurawi. Strzałkom pozostało przesunąć się w prawo o czwartą część skali, by doszło do powstania takiej proporcji między mocami, przy której można byłoby przypuszczać, że pole przynajmniej jednego z Żurawi zostało nie tylko zneutralizowane, ale i pokonane, i że można zacząć hamowanie, a Żuraw posłusznie zahamuje wraz ze statkiem. Na tym właśnie polegało zadanie - zatrzymać, wyrwać ze stada, a następnie, ani na moment nie osłabiając pułapki, zbadać i zrozumieć, co to takiego...

I strzałki ruszyły w drogę przez tę ostatnią, czwartą część skali, a wzrok Starca jakby je poganiał. Ale widać wsparcie to nie było wystarczające; ruch strzałek stawał się coraz wolniejszy, z coraz większym wysiłkiem przebywały one każdy następny milimetr skali. Starzec przekręcił regulator oddając pułapce resztki znajdującej się w kondensatorach energii i przez statek znów przebiegło drżenie wywołane przez pracujące z maksymalną mocą generatory. Strzałki ledwie zauważalnie popęzły w prawo i Starzec odetchnął z ulgą.

Ale już po sekundzie jego palce zacisnęły się w kulak. Strzałki zatrzymały się. Przez moment drżały w miejscu, jakby się zastanawiały, czy kontynuować-wędrówkę po skali, a potem ruszyły

błyskawicznie, ale nie w prawo, lecz w lewo, ku ogranicznikom zerowym. Jednocześnie inne przyrządy pokazały, że linie siłowe pola pułapki, dotąd jakby ściśnięte wskutek oporu ze strony pola Żurawi, nieoczekiwanie przestały odczuwać ten opór, jakby pole Żurawi - a tym samym i one - nagle zniknęło.

Było to niewytłumaczalne, ale nie mieli czasu się nad tym zastanawiać. Statek zawibrował i przez ułamek sekundy wydawało się, że się rozleci, rozsypie, przekształci w kupę złomu. To delta-generatory, nieoczekiwanie pozbywszy się obciążenia, rozwinęły niebezpieczną ilość obrotów. Przyrządy kontrolne na tablicy znajdującej się przed Igorem zapłonęły niczym czerwone oczy strachu.

Igor nie zdążył jeszcze znaleźć słów, kiedy Starzec przekręcił regulator - gwałtownie zmniejszając dopływ energii - by automaty ochronne nie wyłączyły całkowicie generatorów. To, co zobaczyli na ekranie, kazało im na sekundę zwątpić w realność sceny rozgrywającej się na ich oczach: szybkość, z jaką zbliżały się do siebie Żurawie i statek, błyskawicznie malała.

Zdziwiony Starzec rzucił okiem na integrator; przecież to niemożliwe, żeby jego statek samorzutnie zwiększył szybkość i zaczął oddalać się od Żurawi. Nie, oczywiście, że do tego nie doszło.

W takim razie zwolniły Żurawie. Zwolniły. same, bo pułapka nie była w stanie tak mocno zahamować stożka.

Rozumiał to nawet Igor.

Wydarzenia przestały być zrozumiałe. Ciało niebieskie, bez względu na to, z czego jest zbudowane, nie może samorzutnie zmieniać szybkości i kierunku ruchu.

A tu...

Na ekranie wyraźnie było widać, jak z każdą sekundą stożek coraz bardziej odchyłał się od prostej. Objasnić to można było tylko usterkami deltawizora, założywszy, że Żurawie w jakiś sposób

podziały nań swym polem i aparaty zaczęły dawać zniekształconą, a kto wie, czy nie całkowicie fałszywą informację.

To znaczy, że nie można na nich polegać. A na czym można?

Ale takie objaśnienie mogło zadowolić najwyżej Igora. Natomiast Starzec znający moc i niezawodność swego pola siłowego tylko na moment dopuścił taką możliwość i natychmiast ją odrzucił jako nie zasługującą na uwagę. Żurawie zboczyły. Trzeba było zarzucić niewidzialną sieć choćby na jednego z nich, teraz Starzec pewny był, że poznanie tego zjawiska da więcej, niż się spodziewał. Żurawie zmniejszyły szybkość - to znaczy, że i statek powinien zwolnić. To bardzo proste.

Starzec wyciągnął rękę i jego palec legł na klawiszu. Żurawie zmniejszyły szybkość - o ile?

Tak, przeciążenia będą niemałe. Ale on przywykł nie tylko do takich. Rozkaz dla silników!...

Ale coś przeszkodziło mu w naciśnięciu klawisza. Zerknął w prawo - tam gdzie siedział Igor - i jego jasne oczy zapłonęły nienawiścią.

Starzec jak zwykle zapomniał, że jest ich na pokładzie statku dwóch. Teraz przypomniał sobie o tym i zakrzyczał bezdźwięcznie pytając kogoś niewidzialnego, jak długo jeszcze będzie musiał płacić za to, że wgiął ze sobą tego chłopaka.

Nie myślał teraz o wszystkich drobnych niedogodnościach i rozczarowaniach związanych z tym faktem. Myślał o rzeczy najważniejszej: o tym, że chłopiec nie jest przyzwyczajony do przeciążeń wielokrotnie przewyższających pasażerskie i że może po prostu nie wytrzymać.

Westchnął ciężko. Nie zdjął palca z klawisza mechanizmu powrotnego, ale jego lewa ręka uniosła się i legła na sektorze sterowania.

Ostatecznie można było hamować i w ten sposób, na połowie ciągu. Wymagało to jednak o wiele więcej czasu, a kto mógł przewidzieć, co zrobią w tym czasie Żurawie, jakie zachodzące w nich procesy każą mu działać i podejmować decyzje? Skoro niespodzianki się już zaczęły,

nieostrożnością byłoby nie spodziewać się ich ciągu dalszego.

Aby uwolnić się od tych myśli, Starzec przeniósł wzrok na ekran. Przedtem jednak zerknął na chłopca. Przeciężenia były niewielkie, ale jemu, zdaje się, i takie wystarczyły. Młodzież zrobiła się bardzo delikatna. Rozmyślać o życiu w przestrzeni, owszem, potrafi, ale hamować jak należy, tak żeby iskry z oczu poszły...

Ekran kazał mu oderwać myśli od Igora, który w tej chwili krzywiąc się z bólu wywołanego przecięciem rozmyślał o tym, że Starzec stracił część swej - być może przypisywanej mu tylko - stanowczości: przecież to jasne, że należało ostrzej hamować. Ale powiedzieć o tym nie można, kapitan z pewnością śmiertelnie by się obraził. Deltawizor pokazywał, że stado odchyliwszy się od kursu zaczęło się oddalać. Dopiero wtedy kiedy odległość między nim a statkiem była większa niż w momencie włączenia pułapki, wróciło na poprzedni kurs. Teraz leciało w kierunku, w którym podążało przed spotkaniem ze statkiem. Stado widoczne było bardzo wyraźnie, każdy Żuraw z osobna. Odległość nie pozwalała jeszcze rozróżnić szczegółów, ale czy w ogóle istniały jakiegokolwiek

szczególności? Na razie stało się jasne tylko to, że stożek rzeczywiście składa się z czarnych, błyszczących jak czarny atlas ciał, a dokładniej powierzchni, gdyż wyglądały one jak nie posiadające w ogóle grubości płaszczyzny. Te niemalże prawidłowe romby wydawały się pozostawać w całkowitym bezruchu jeden w stosunku do drugiego. Stożek stopniowo malał, pozostawał w tyle, choć statek kontynuował hamowanie i Żurawie zmniejszały się coraz wolniej. Wreszcie znieruchomiały w rogu ekranu, prędkości zrównały się i Starzec poczuł, że nadszedł moment najbardziej odpowiedni na wykonanie drugiego ataku.

Tym razem był ostrożniejszy. Trzymając prawą rękę na czerwonej dźwigni delta-pułapki lewą wolno wyciszył silniki, a następnie przeniósłszy ją na stery zmienił kurs, by płynnie zbliżyć się do stada. Manewr ten wyszedł Starcowi i Żurawie znów zaczęły rosnać na ekranach przesuając się na ich środek. Teraz zbliżył się do nich jeszcze bardziej niż pierwszym razem i wszedł na poprzedni

kurs dopiero wtedy, gdy intuicja podpowiedziała mu, że dalsze zmniejszenie dystansu może być niebezpieczne. Igor nie miał takiej intuicji, ale patrzył na wskaźniki mocy pola ochronnego; właśnie zamierzał uprzedzić Starca, że ich strzałki dochodzą do końca skali, kiedy ten zakończył manewr. Przez chwilę dowódca siedział z zamkniętymi oczyma, jakby odpoczywał. Potem pchnął czerwoną dźwignię. Statek znów zadrżał: generatory błyskawicznie gromadziły energię, którą w następnej minucie kondensatory wyrzuciły w przestrzeń. Ludzie na moment przestali oddychać. Przez stożek, przez każdą z płaszczyzn określanych mianem Żurawi, przebiegło drżenie. Starzec wyrzucił w górę ręce niczym piłkarz, który strzelił przeciwnikowi gola, a Igor nabrał powietrza, by eksplodować okrzykiem zwycięstwa. Ale po pół sekundzie ręce Starca opadły, Igor zachłysnął się powietrzem i zakasłał. Po chwili obaj mężczyźni zmrużyli oczy, a nawet przysłonili je rękami. Ekran eksplodował niespodziewanie jasnym światłem, jakby każdy Żuraw mógł świecić jak gwiazda i nagle włączył swoje oświetlenie. Przerażliwie bolały ich oczy. Starzec na oślep sięgnął ręką do tarczy delta-wizora i wyłączył go. Ten sam los spotkał pułapkę. Zawarczały generatory zmniejszając płomień i obroty. W sterówce zapanowały ciemności. Ludzie otworzyli łzawiące oczy. Po kilku sekundach Starzec ponownie włączył deltawizory. i na ekranie ukazała się przestrzeń, w głębi której odgadywało się błyskawicznie malejący stożek. Teraz dopiero Starzec pojął, co wywołało zjawisko, które wziął za wybuch. Kwanty delta-pola były jedynymi, jakie odbijały Żurawie; na tak małą odległość każda z wchodzących w skład stada płaszczyzn przekształciła się w gigantyczne zwierciadło promieniowania delta, a deltawizory posłusznie odbierały odbite przez stado promienie i bez litości raziły nimi oczy ludzi. To dobrze, że wszystko miało tak proste wytłumaczenie; ale Żurawie znów zmniejszyły prędkość i były już daleko - tak daleko, że próbować zmniejszyć odległość między nimi a statkiem przez hamowanie równie płynne jak za pierwszym razem chyba nie miało sensu. Ale mimo wszystko było to jedyne wyjście. I starając się nie myśleć o siłach pozwalających Żurawiom wielokrotnie zmieniać szybkość

i kierunek lotu Starzec znów włączył silniki na połowę mocy. Przez kilka sekund w sterówce słychać było ochrypy oddech. Następnie z trudem wyrzucając z siebie słowa odezwał się Igor:

- Dlaczego... tak... wolno?

Starzec uśmiechnął się z przymusem.

- Nie wytrzymasz większych przeciążeń.

- Wytrzymam. Szybciej!

Starzec obrócił głowę. Patrzył gdzieś obok Igora.

- Jesteś pewny, że wytrzymasz?

- Jeden raz... tak.

Starzec spojrział Igorowi prosto w oczy. Po sekundzie kiwnął głową.

- Dobrze. Ale musisz się położyć w płynie przeciw-przeciążeniowym.

- Nie. Ja muszę być... tu...

Starzec westchnął, powiedział:

- Dobrze - i płynnym ruchem ręki przesunął do przodu sekcje.

Igorowi wydało się, że Wszechświat legł na jego piersiach. Oczy przestały widzieć. Zabrakło mu powietrza.

- Niech pan nie zmniejsza...

- Nie - usłyszał. - Daję powietrze pod ciśnieniem.

- Kiedy będziemy w punkcie spotkania... powie mi pan.

- Dobrze.

- Żeby się tylko nie spóźnić.

- Nie spóźnimy się.

Igor chciał kiwnąć głową, ale okazało się to niemożliwe: czuł, że jeśli pochyli głowę, to odłamie się ona i spadnie na podłogę. Kazał więc otworzyć się oczom i zaczął patrzeć na ekran

próbując odgadnąć, gdzie dojdzie do spotkania i czy się tam nie spóźnią.

Nie spóźnili się. Dotarli do punktu spotkania akurat, żeby zobaczyć, jak przelatują Żurawie.

Ich nienaganny styk nie był naruszony, zachowywały go o wiele dokładniej od swych ziemskich krewnych. Statek leciał nieco wolniej niż stado i teraz Żurawie wyprzedzały go bez pośpiechu. Kiedy zbliżał się kolejny Żuraw, przyrządy rejestrowały wzrost delta-pola, następnie jego błyskawiczny spadek i znów wzrost do maksymalnej wielkości, spadek do zera - i wszystko zaczynało się od nowa.

Żurawie przelatywały obok statku, a Starzec myślał o tym, że sądząc z danych statystycznych widzi je po raz ostatni. Jeśli nie dokona teraz tego, do czego przygotowywał się przez długie lata, to straci ostatnią możliwość osiągnięcia celu. Ostatnią. Ostatnią...

Wydawało mu się to bezsporne. Tym niemniej nie śpieszył się z ponownym uruchomieniem pułapki, tej na którą tak liczył, a która już dwa tary nie spełniła pokładanych w niej nadziei.

Najwidoczniej nieprawidłowo oceniał dotąd wielkość pola Żurawi. Okazało się ono mocniejsze, niż przewidywano, większe niż to, na które Starzec liczył. Zresztą gdyby nawet wiedział, że wielkość ich pola przewyższa tę, którą wykorzystał w swych obliczeniach, a która została ustalona w wielkim przybliżeniu, i tak nie mógłby nic zmienić: moc jego pułapki zależała od delta-generatorów, a jego generatory były najmocniejsze z zabieranych w kosmos. To była gra w ciemno i on tę grę przegrywał.

Przegrywał ze stadem, gdyż pozwalał teraz Żurawiom przelatywać obok statku. Ale moc jego pułapki - wiedział to teraz na pewno - znacznie przewyższała moc pola każdej płaszczyzny.

Rozwiązanie nasuwało się samo: trzeba . przepuścić obok większą część stada i spróbować wyrwać ze stożkowego styku jedną z ostatnich płaszczyzn, oddziaływającą na siebie z polem całego stada tylko w jednym kierunku.

Odchyliwszy się na oparcie fotela liczył. Oto na skrzyżowaniu osi ekranu znalazł się siódmy od początku rząd.

Napięcie pola wzrosło i spadło: Szósty. Licząc Starzec nieświadomie poruszał ustami: Piąty.

Przygotować się... Czwarty. Czas !

Statek drgnął raz jeszcze wyrzucając w przestrzeń niewidzialną sieć. Skierowała się ona w lukę między piątym i czwartym i ten czwarty nieuniknienie powinien był zaplątać się w jej siłowych liniach. Ludzie przyłgnęli do ekranów.

Ale w chwili gdy wydawało się to nieuniknione, nieoczekiwanie powtórzyła się poprzednia historia. Czarna płaszczyzna nieoczekiwanie zwinęła się i pomknęła w bok. Nic nie tłumaczyło tego błyskawicznego i gwałtownego manewru, dzięki któremu Żuraw wymknął się ze strefy działania pułapki jeszcze nie zdążywszy wejść z nią w kontakt. Starzec nie zamierzał uznać się za pokonanego, ale kolejny Żuraw - z trzeciego rzędu - skręcił nie dotarłszy nawet do miejsca, do którego doleciał jego poprzednik, a następny jeszcze wcześniej. Ręce Starca zaczęły miotać się po pulpicie wzmacniając pole pułapki, zmieniając ogniskową; stosując wiele tricków, które wymyślić w ułamku sekundy był w stanie tylko on jeden - nic nie pomogło i wkrótce ostatni Żuraw przemknął obok statku, ze wzrastającą szybkością oddalając się w przestrzeni. Tak to wyglądało na ekranie i tak też to

widział Igor. Starcowi wydało się jednak, że ostatnia płaszczyzna runęła nagle w jego stronę spowijając go w nieprzeniknioną, ciężką, zapierającą dech w piersiach czerń.

- No i jak się pan czuje? - zapytał Igor. Starzec poruszył się.

- Gdzie jesteśmy?

- Wszystko w porządku. Niech pan leży spokojnie.

- Kurs, jaki mamy kurs?

- Na dom.

- A Żurawie?

- Są już daleko. - Igor zamyślił się na moment, jak gdyby coś obliczał w myślach, a potem powtórzył:

- Daleko. Starzec westchnął i zamknął oczy.

- Niech się pan nie niepokoi - powiedział Igor. - Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. To po prostu przemęczenie nerwowe. Rzecz naturalna w pańskim wieku.

Starzec wymamrotał:

- To nie przemęczenie. To rozczarowanie. I to już ostatnie.

Pomilczał chwilę i uśmiechnął się. - Tyle lat... i wszystko na nic.

- Dlaczego na nic?

- Odeszły. - Starzec nagle uniósł się na łokciu i zapytał ostro:

- A może nie? Ten ostatni... Odpowiadaj !

- Odleciały wszystkie. Ale przecież coś zostało...

- Zapisy, taśmy? Nie o to mi chodziło.

- A o co?

- Chciałem zrozumieć je, poznać. A do tego potrzebny był mi Żuraw. Chociaż jeden !

Igor pomyślał, że leżący przed nim starzec to mimo wszystko wielki Starzec. Ale czy

będziemy wszyscy tęsknić za Żurawiami, poniósłszy jeszcze jedną, tym razem ostateczną klęskę?

- Niekoniecznie trzeba było je chwycić. Ale Starzec nie słuchał.

- Tyle lat! - wymamrotał. - Ile ekspedycji bym odbył! Ile założył kolonii. Mam bardzo dużo lat.

Mógł tego nie mówić: był teraz taki jak wtedy, w swej kajucie.

- Ale przecież osiągnął pan cel.

Coś w głosie Igora kazało Starcowi podnieść głowę. Patrząc w oczy rozmówcy zażądał:

- Niech pan mówi!

- Te Czarne Żurawie...

- Wiem, jak się nazywają...

- Rzecz w tym, że one są żywe te pańskie Czarne Żurawie!

Starzec uśmiechnął się. - Śmiało !

- Nic prócz żywych istot nie może dowolnie zmieniać szybkości i kierunku lotu. A one zrobiły i jedno, i drugie. Gdyby nie był pan tak pochłonięty łowami, dawno by się pan tego domyślił!

Patrzący w bok Starzec znów się uśmiechnął, tym razem jednak jakby z poczuciem winy.

- Interesujące - powiedział. - Ale przecież można znaleźć również inne objaśnienie tego faktu. Możliwa jest też zupełnie inna interpretacja.

- Nieprawda. Niech pan sobie przypomni, jak rzucały się w bok od pańskiej pułapki. To nie pole je odrzucało, one same ją omijały. I dawały sobie znać o niej ! Za drugim razem zrobiły to jeszcze szybciej !

- Ma pan zadatki na obserwatora - powiedział Starzec z nutką pochwały w głosie. Następnie zmrużył oczy.

- Za jakim drugim razem?

- Kiedy pan odpoczywał, spróbowałem jeszcze raz. Jeszcze raz zrównałem się z nimi i przypomniawszy sobie, jak pan to robił...

- Cud, że nie eksplodowaliśmy - stwierdził ponuro Starzec. - No i jaki wynik?

- Przecież powiedziałem! A propos, mówił pan, że próbował pan schwytać je w ten sposób.

Wcześniej. - Pułapka była jeszcze słabsza...

- Wszystko jedno. One ją znają, rozumie pan?! One znają sposób! I to pan je tego nauczył!

Starzec milczał patrząc w sufit, jego spojrzenie było dziwne i Igor pomyślał nagle, że to niemożliwe, by mężczyzna do tej pory absolutnie niczego się nie domyślał. Przecież to jasne, że się domyślił. Dlaczego więc cały czas oponuje?

- Życie w przestrzeni... - wymamrotał Starzec. - Wie pan, ta pańska idea jakoś nie mieści się człowiekowi w głowie.

- Dlaczego uważa pan, że życie może istnieć na planetach, że przestrzeń nie może być miejscem zamieszkania żywych istot?

- Takie hipotezy - powiedział Starzec - dobrze jest wysuwać w młodości - popatrzył Igorowi prosto w oczy. W młodości! - powtórzył z naciskiem. - Kiedy jest jeszcze czas na udowadnianie, uściślanie, badanie. Bo zbadać trzeba będzie wiele rzeczy. Na przykład, czym się żywią. Energią?

- Najwidoczniej przyswajają sobie energię bezpośrednio w postaci promieniowania. Właśnie dlatego posiadają największą powierzchnię przy danej objętości. A delta-pole wykorzystują do lotów i lokacji.

- To było wiadomo od początku - wymamrotał Starzec. Pierwszy wzrost pola - lokacja, drugi

- wyrzut kwantów w momencie zmiany ruchu. Interesujące... Oczywiście zmierzył pan sumaryczną moc pola przed stożkiem i stopień jego słabnięcia?

- Nie. Nie pomyślałem o tym.

- Niewybaczalny błąd. Jak pan mógł tego nie zrobić?!

- Drobiazg. I tak nieprawdopodobnie mi się poszczęściło !

Starzec podniósł brwi.

- Jak to?!

- A tak! Teraz jasne, dlaczego zdążają ku Nowym. Dlatego, że właśnie tam mogą uzyskać maksymalną ilość energii. Czyż to nie szczęście, że w tym locie, po którym niczego więcej się nie spodziewałem, udało mi się zdobyć dowody na to, że w przestrzeni rzeczywiście istnieje życie? -

Okazuje się więc; że nasze zainteresowania wcale nie są tak krańcowo różne, jak się wydawało.

- Starzec westchnął. - Zazdroszczę panu. Od samego początku będzie pan miał statek i do

tego zdążył pan już wybrać sobie obiekt badań. Nie braknie panu pracy, nie braknie... - Igorowi

wydało się, że Starzec uśmiechnął się ironicznie, zaraz jednak znów się zachmurzył. - Jak pan mógł

nie zmierzyć natężenia pola przed stożkami i jego wektora?

- Ale po co miałem to zrobić?

- Nie zamierzam o wszystkim myśleć za pana ! wybuchnął Starzec. - Dlaczego nie przeanalizował pan uzyskanych danych wszechstronnie? Przecież jeśli Żurawie kierują się w stronę Nowych nieprzypadkowo i do tego wtedy, kiedy te jeszcze nie zdążyły wybuchnąć, czyż to nie znaczy, że ich organy łowiące delta-promieniowanie są tak czułe, że rejestrują procesy zaczynające się we wnętrzu gwiazd na długo przed nami? Niech pan pamięta! Tam dokąd zdążają teraz Żurawie, eksploduje Nowa. Wystarczy dość czujna służba patrolowa, dokładne pomiary, i ludzie będą wiedzieć, gdzie nastąpi kolejny wybuch. Gdybyśmy znali natężenie ich pola lokacyjnego, już teraz mielibyśmy pojęcie o czułości ich receptorów. A gdybyśmy znali wektor, już dziś można byłoby powiedzieć, jaka gwiazda wybuchnie! Jak można przechodzić obojętnie obok tak oczywistych rzeczy? Niech pan pamięta, że następnym razem poleci pan beze mnie i nie będę mógł panu podpowiadać z Ziemi, co robić! Igor wcale się nie obraził.

- To prawda - westchnął. - Niech pan odpoczywa dalej. Czas spojrzeć na inne, ziemskie żurawie.

- Czas - powiedział Starzec zamykając oczy. - Czas... Mimo wszystko tak naprawdę odpocząć można tylko tam. Westchnął.

- Szkoda, że nie wykonał pan pomiarów.

- Następnym razem na pewno... Niech pan leży! Starzec krzywiąc się wsunął nogi w pantofle.

- Wystarczająco długo leżałem.

- Zaledwie trzy doby...

- Wystarczy! Tak... Maksymalną prędkość stada znamy: wymykając się nam Żurawie zmniejszały prędkość, a nie zwiększały. Gdyby mogły, usiłowałyby nas wyminąć. Nie mogły, a więc...

- O co panu chodzi? Starzec uśmiechnął się.

- O ile pamiętam, sam się pan wprosił na mój statek. Z własnej woli wpakował w tę historię z Żurawiami. Igor zaśmiał się.

- I to zdaje się na dobre. Jest pan chytrzejszy ode mnie. Ale..

- Żadnych "ale!" - powiedział Starzec. - Spotkanie z ziemskimi żurawiami trzeba będzie na jakiś czas odłożyć, mój chłopcze!

- Nie śpieszy mi się - z gotowością oznajmił Igor. - Co teraz?

- Nasza szybkość jest o dwadzieścia tysięcy kilometrów na sekundę większa! - z triumfem wykrzyknął Starzec. Kierunek znany. Ziemskie żurawie nie uciekną nam, więc jeszcze raz przyjrzyjmy się Czarnym!

przekład : Michał Siwiec

ILIA WARSZAWSKI

MIŁOŚĆ I CZAS

Jeśli macie 26 lat i wasze życie osobiste stanowczo się nie ułożyło, jeśli jesteście nieśmiali, macie nieciekawy wygląd zewnętrzny i prozaiczny zawód ekonomisty-planisty, jeśli jesteście właścicielem śmiesznego nazwiska Klarnet wywodzącego swój początek od jakiegoś pospolitego muzykanta - pechowca, nie wiadomo kiedy i w jaki sposób osiadłego na Rusi, jeśli jesteście na tyle skromni, by marzyć tylko o jednym pokoju we wspólnym mieszkaniu, ale jednocześnie wystarczająco trzeźwo patrzycie na sprawy, by rozumieć, że wasz pobyt w miejskim mrowisku wcale nie będzie krótki, jeśli zaczarowane słowo "miłość" budzi w was nadzieję, a nie wspomnienia - słowem, jeśli jesteście tym kimś, kogo zamierzam uczynić bohaterem mego opowiadania, to koniecznie musicie mieć hobby.

Hobby to ochłap, który rzuca obojętny Los swym pasierbom po to, by nie nadużywali jego cierpliwości.

Nieistotne, jakie hobby wybieriecie. To już zależy od waszych możliwości, środków i temperamentu. Przecież jeśli się zastanowić, to uporczywe i bezowocne próby poprawienia odbioru programów telewizyjnych odległych stacji wcale nie są gorsze od kolekcjonowania okrągłych podstawek pod piwo czy hodowania cytryn na parapecie. Ważne jest tylko jedno: żeby w czasie przerwy obiadowej móc powiedzieć kolegom z obojętną miną, że wczoraj Paryż nadawał wspaniały film z Sofią Loren, lub do szklanek z herbatą takich samych biedaków jak wy z obojętną miną nakroić po plasterku pomarszczonej, zielonej cytrynki. (Wiecie, to wcale nie najlepsza z tych, które udało mi się wyhodować w tym roku, wszystkie pozostałe musiałem jednak rozdać).

Jurij Klarnet poświęcał cały swój wolny czas poszukiwaniu w eterze sygnałów obcych państw. W tym celu za 8 rubli zakupił w komisie stary KWN z ekranem nieco większym od koperty. Wybór telewizora nie został jednak podyktowany skąpstwem czy też brakiem środków obrotowych.

Po prostu każdy, kto zna technikę odbierania programów odległych stacji, wie, że lepszemu obrazowi niż na KWN nie uzyska się nigdzie. Kiedy próba ustawienia na dachu, w charakterze reflektora anteny, ocynkowanego koryta została z całą stanowczością udaremniona przez administratora domu, Klarnet zmuszony był plunąć na rady dawane w czasopiśmie i zająć się wynalazczością. Ten wieczór, od którego właściwie zaczyna się moje opowiadanie, był końcowym etapem długich poszukiwań, rozmyślań i niepowodzeń. Ścisnąwszy pomiędzy kolanami skomplikowaną ażurową konstrukcję z drutu, przypominającą antenę radioteleskopu, Klarnet przylutowywał wyjście. Spieszył się, gdyż miał nadzieję, że jeszcze tego wieczoru uda mu się przeprowadzić kilka wcześniej obmyślonych eksperymentów. Jak zawsze w takich wypadkach niespodziewanie przestała działać lutownica. Klarnet zaklął, położył na podłodze swoje dzieło i z lutownicą w ręce podszedł do gniazdka.

W tym samym momencie coś trzasnęło i w pokoju zgasło światło.

Klarnet wyrwał wtyczkę z kontaktu i skierował się ku stołowi, na którym powinny były leżeć zapałki. Po drodze zahaczył nogą o dywanik leżący przy łóżku i z impetem runął na tę samą paraboloidę, którą z zapamiętaniem dyletanta wykonywał przez dwa tygodnie.

Zaklął jeszcze raz, namacał w ciemności zapałki i wyszedł na korytarz.

Tam także było ciemno.

- Znowu przepaliłeś korki, dobry obywatelu? Dobry obywatel mimo woli wypuścił z rąk zapaloną świeczkę. Głos należał do sąsiada - emeryta, nudziarza, człowieka nienawidzącego ludzi, miłośnika surowego porządku. Sąsiad żył samotnie i nudził się jak mops. Przez pierwsze dziesięć dni po przyjściu emerytury znajdował się w stanie systematycznie narastającego złowrogiego wzburzenia, zaś przez pozostałe dwadzieścia w głębokiej depresji. Żywił się nie wiadomo gdzie i chociaż miał w kuchni własny stolik, gospodarstwa żadnego nie prowadził. Raz w miesiącu przyjeżdżała jego córka, mieszkająca oddzielnie, która przywoziła wypraną bieliznę i zabierała

kolejną porcję brudnej.

- Znów przepaliłeś korki? - powtórzył Budiłow. Klarnet zapalił nową zapałkę.

- Zaraz sprawdzę.

Tymczasem zaczęły się otwierać liczne drzwi wychodzące na wspólny korytarz. Po ścianach, w upiornym świetle lampek, latarek i ogarków świec, zaczęły biegać pokraczne cienie. Awarie instalacji oświetleniowej były zjawiskiem normalnym, więc lokatorzy byli na nie przygotowani.

- Boże! - drżącym głosem powiedziała nauczycielka mieszkająca w pobliżu kuchni. - Co dzień to samo! Przecież w końcu są chyba jakieś zasady współżycia obowiązujące wszystkich. Mam dwadzieścia nie poprawionych klasówek. - Zasady! - parsknął śmiechem Budiłow. - To tylko nasze mieszkanie pozbawione jest zasad. W innym daliby parę razy po gębie i od razu wiedziałby, co to takiego zasady.

- Po gębie nie ma co go bić - zaproponował solidny baryton. - Teraz nie ma takiego prawa, żeby bić kogoś po gębie. Trzeba zawiadomić komisję pojednawczą.

- Dobra! - odgryzł się Klarnet. - Lepiej niech mi ktoś pomoże przynieść z kuchni stół.

- Widzisz go! - szturchnął go palcem Budiłow. - Nie, szanowny panie, sam przepaliłeś korki, więc sam taszcz stół, tu nie znajdziesz pomocników.

Klarnet sapiąc przywlekł kuchenny stół, wywindował na niego taboret, a na taboret krzesło.

Przewody elektryczne zostały zainstalowane jeszcze w tych czasach, kiedy do prądu odnoszono się z takim samym strachem, jak w naszych czasach do energii atomowej. Dlatego też największa świętość - korki - była schowana przed nie wtajemniczonymi pod sufitem, na wysokości czterech metrów.

Nie po raz pierwszy naprawiający korki Klarnet poprosił jeszcze o ławeczkę pod nogi, której używała cierpiąca na reumatyzm nauczycielka, i zakończywszy na niej budowę piramidy wlaź do góry.

Na chybił trafił odkręcił jeden z licznych korków i w odległym końcu korytarza rozległ się ryk:

- Ej! Kto się tam bawi światłem?!

- Przepraszam - powiedział Klarnet. - Przez przypadek wykręciłem nie tę grupę, co trzeba.

Proszę mi poświecić, nic tu nie widać!

Czyjaś współczująca ręka podniosła do góry świecę. - Tak... - Klarnet wykręcił jeszcze dwa korki. Wszystko jasne. Ma ktoś może kawałeczek cynfolii?

- Czego?

- Szeberka z czekolady.

- My nie interesujemy się czekoladą - powiedział Budiłow.

- Niech pan poczeka, Jura, zaraz przyniosę. Nauczycielka skierowała się do pokoju.

Kto wie, jak dalej potoczyłyby się wydarzenia, gdyby Klarnet wykazał więcej ostrożności w czasie opuszczania swej wieży. Najwidoczniej jednak moment, kiedy jego lewa noga straciła oparcie, był tym punktem zwrotnym, gdzie bojaźliwy Przypadek przekształca się w pewną siebie Prawidłowość. Runąwszy w dół, boleśnie uderzył głową o brzeg stołu, w wyniku czego zupełnie otepiał. W innym wypadku bowiem po powrocie do pokoju nie zacząłby wyładowywać złości na bogu ducha winnej antenie. Żaden zdrowo myślący człowiek nie będzie przecież deptać nogami tego, nad czym z takim zapalem pracował przez tyle wieczorów.

Od tego mało produktywnego zajęcia oderwał go głos stojącego w drzwiach Budiłowa:

- A stół kto postawi na miejsce?

Nieprzyjemności mijają, a hobby zostaje. Wie to każdy, poczynając od młodego kolekcjonera znaczków, a kończąc na starym miłośniku śpiewających ptaków, każdy, w czyjej duszy pali się pożerająca wszystko namiętność do zajęć nie przynoszących pożytku.

Nic dziwnego więc, że już następnego dnia Klarnet gwizdząc jakąś melodię usiłował usunąć

następstwa wczorajszego wybuchu gniewu. Niestety! Im więcej się starał, tym mniej jego antena przypominała elegancką paraboloidę.

Trudno powiedzieć, do jakiej kategorii powierzchni zaliczyłby ją specjalista od topologii.

Było to bowiem coś w rodzaju zjedzonego przez gąsienice, skręconego liścia. Któż jest w stanie odgadnąć, kiedy nadchodzi ta niepojęta i tajemnicza chwila, w której zostaje dokonane odkrycie?

Doprowadzony do rozpaczyci człowiek rzuca na piec grudkę kauczuku zmieszanego z siarką. I oto dokonał się cud : został odkryty sposób wulkanizacji kauczuku dający początek przemysłowi gumowemu. Neurastenik cierpiący na migrenę od stukotu kół dziecięcego roweru okręca je rurkami lewatyw. Upływa kilka lat i szmer opon słychać na wszystkich drogach świata. Skromny ekonomista - planista podłącza do przedpotopowego telewizora skręcony druciany koszyk i ...nic się nie dzieje.

Zdecydowanie nic. Ekran nadal świeci błękitnym światłem, ale obrazu. nie ma, choć Klarnet kręci anteną we wszystkie strony. Jak wy byście postąpili w takiej sytuacji? Prawdopodobnie wyrwalibyście z gniazdka wtyczkę i poszli spać. Właśnie dlatego prawo ciężenia, sputniki Marsa, rozpad radioaktywny, falowe właściwości , elektronu i inne rzeczy nie zostały odkryte przez was. Obcy jest wam szlachetny hazard badacza.

Klarnet zapalił papierosa i zamyślił się. Potem podporządkowując się jakiemuś natchnieniu zaczął mocniej skręcać antenę w spiralę. I nagle wszystko w cudowny sposób zmieniło się.

Początkowo przez ekran zaczęły przebiegać czarne błyskawice, a potem w ich aureoli pojawiła się twarz dziewczyny. Była ona nieopisanie piękna. Piękna, gdyby bowiem było inaczej, targnęlibyśmy się na święte prawa fantastyki. Nieopisanie, gdyż wszystko, co piękne, nie może być opisane słowami. Spróbujcie opisać tułów Wenus, uśmiech Giocondy, zapach jaśminu czy słowicze trele.

Poeci w takich wypadkach uciekają się do porównań, ale to nic innego jak tylko trick. Objasnienie jednych pojęć za pomocą innych nic nikomu nie daje. Ograniczmy się do tego, że była ona piękna.

Jej strój... Tu znów zmuszony jestem przyznać się do swej bezsilności. Każdy mężczyzna potrafi

przez dziesięciolecia pamiętać kształt jakiegoś głupiego pieprzyka na ramieniu ukochanej, ale nigdy nie jest w stanie powiedzieć, w jakim płaszczu była wczoraj.

- No i czego wytrzeszcza pan na mnie oczy? - zapytała dziewczyna. - Niech pan nie wyobraża sobie, że to pan mnie odkrył. Po prostu kształt pańskiej anteny dobrze się wpisuje w krzywiznę przestrzeni czasu. Inaczej byłby pan nie ujrzał, tak jak nie widzi pan własnych uszu.

Obserwuję pana już od dawna. Ciekawie pan sobie żyje! Klarnet machinalnie zerknął na boki i poczuł się wyjątkowo niezręcznie. Co innego stanąć przed kobietą po starannych przygotowaniach, a co innego zostać zaskoczonym zniecka we własnym pokoju. Zdjęta jeszcze przedwczoraj stłamszona bielizna wałała się na podłodze tuż obok nie zasłanego łóżka. Na stole obok lutownicy i kalafonii leżała zatłuszczona gazeta z kawałkami chleba i szkieletami wędzonych rybek resztkami z wczorajszej kolacji. Na parapecie stała bateria nie umytych butelek po kefirze. Czort wie, czego tu nie było !

Klarnet zapiął na piersiach kowbojską koszulę, wsunął pod stół bosc nogi w znoszonych pantoflach i zdobył się na coś, co miało być uśmiechem.

- Tak? A czemuż to zawdzięczam takie zainteresowanie moją osobą?

Dziewczyna zachmurzyła się.

- Co pan tak porusza ustami? I tak pana nie usłyszę. Proszę odpowiadać na pytania ruchami.

Jeśli tak - kiwnie pan głową, a jeśli nie - pokręci. Jasne?

- Jasne - z roztargnieniem powiedział Klarnet.

- Jasne czy nie?

Klarnet kiwnął.

- Teraz lepiej. Może pan zbudować czasowy nadajnik radiowy?

- A co to takiego?

- Ależ pan tępy! Może pan czy nie? Klarnet pokręcił głową.

- Oczywiście! - uśmiechnęła się dziewczyna. - Skąd miałby pan umieć? Przecież w pańskich czasach jeszcze ich nie było. Przedpotopowa technika. Poza tym nie ma odpowiednich detali. Będę musiała go panu transmutować. Niech pan zmierzy odległość centrum pańskiej anteny od środka stołu w pionie i w poziomie. Rezultat niech pan napisze na kartce. Mierzyć, mam nadzieję, pan umie? Klarnet pogrzebał w skrzynce z narzędziami i wydobył z niej taśmę mierniczą.

Dziewczyna obserwowała go z ironicznym uśmiechem.

- Nie tak! Proszę w myśli wyprowadzić dwie prostopadłe. Tak! Proszę zanotować! Teraz do powierzchni stołu. Doskonale! Niech pan pokaże, co panu wyszło.

Klarnet podniósł ku ekranowi kartkę z zanotowanymi cyframi.

- Przypuśćmy, że się pan nie pomylił - skrzywiła się. Proszę zabrać to świństwo ze stołu.

Telewizor może pan odsunąć na brzeg. Ostrożnie! Niech pan nie obróci anteny! Proszę odsunąć się i nie bać. Raz, dwa, trzy!

Klarnet zrobił kilka kroków ku drzwiom i wtedy nad stołem coś się pojawiło. Ni to obłok, ni to słoneczny zajaczek, ni to...

Co, nie udało mu się ustalić. Zapachniało spalenizną i na starej ceracie zaczęła rosnać brązowa plama. Wkrótce buchnął także dym.

- Oferma! - powiedziała nieznajoma. - Nawet zmierzyć jak należy pan nie potrafi. No, czego pan stoi? Niech pan to szybko zgasi!

Klarnet pomknął do kuchni w pośpiechu zapomniawszy zamknąć drzwi. Kiedy pędem wracał z czajnikiem, przy drzwiach jego pokoju stał już węszący Budiłow.

- Pożar u pana czy co?

- Nie. Niedopałek przepalił ceratę.

Budiłow spróbował wejść, ale Klarnet zatrzaskał mu przed nosem drzwi i przekręcił klucz.

Stół już się dobrze palił. Klarnet wylał nań czajnik wody, ale było jej za mało i musiał biec po

drugi.

- Wystarczy! - powiedziała dziewczyna. - Słyszysz pan? Wystarczy, bo wszystko mi pan zepsuje. Proszę wziąć nadajnik.

Klarnet wydobyl z wypalanej w stole dziury maleńką czarną szkatułkę.

- No, proszę mówić.

- Co mówić? - zmieszał się Klarnet.

- Jak ma pan na imię?

- Jura.

- Dobrze, niech będzie Jura. A więc tak, Jura: żadnych pytań, bo będę musiała zerwać wszelkie kontakty z panem. Wszystko, co powinien pan wiedzieć, powiem sama.

A propos, mam na imię Masza.

- Bardzo mi przyjemnie! - powiedział Klarnet. Masza ukloniła się śmiesznie.

- Znajdujemy się w tym samym punkcie przestrzeni, ale jesteśmy oddzieleni od siebie pewnym okresem czasu, jakim - nieważne. Pan jest tam, a ja tu - w przyszłości. Jasne?

- Gdzie?! - zapytał oszołomiony Klarnet. - Gdzie się pani znajduje?

- W Leningradzie, a gdzieżby?

- Proszę wybaczyć - wymamrotał Klarnet - to jakby powiedzieć...

- Żadnego jakby powiedzieć. Jestem historykiem-lingwistą, zajmuję się poezją dwudziestego wieku. Zgadza się pan mi pomóc?

- Ja nigdy... w ogóle...

- Ja także nigdy nie rozmawiałam z takim... no, słowem, pomoże pan czy nie?

"Ależ ona natarczywa" - pomyślał Klarnet, ale głośno powiedział:

- Będę rad, jeśli będę mógł pani pomóc.

- To dobrze! - Masza uśmiechnęła się czarująco. A więc zgoda?

- Zgoda! - odpowiedział Klarnet i z żalem spojrział na ekran. Ech !

Trzeba było kupić większy telewizor.

- Doskonale! Teraz wyjaśnię panu, jaka będzie pańska rola.

- Tak jest! - powiedział Klarnet.

- Proszę mi nie przerywać. Widzi pan, żyję w takich czasach, kiedy nie ma już bibliotek, a jest tylko maszynowa pamięć. Jest to oczywiście o wiele wygodniejsze, ale kiedy trzeba odgrzebać coś starszego, zaczynają się kłopoty. Zapytuję o Pasternaka, a otrzymuję jakieś bzdury o ukropie, selerze, słowem, o składnikach zupy. Z Błokiem jeszcze gorzej. Miliony różnych schematów elektronicznych bloków. Przecież było nie było od czasów, kiedy pisali, upłynęło dwa tysiące lat.

- Ile?!

Masza przygryzła wargę.

- No i wygadałam się! Tfu, głupia! Teraz możesz się spodziewać nieprzyjemności.

- Ja nikomu nie powiem - powiedział w porywie szlachetności Klarnet. - Słowo honoru, nie powiem!

- Ach, ale nieszczęście! - Masza przysłoniła rękami twarz. - Nam nie wolno kontaktować się z przeszłością. przecież ja w tajemnicy przed wszystkimi. Nawet Fiedię odprawiłam, żeby w całkowitej tajemnicy...

- Kto to taki Fiedia? - Klarnetowi nie wiadomo czemu nie podobało się to imię.

- Mój laborant. Bardzo miły chłopiec - Masza opuściła ręce i znów się uśmiechnęła. - Niech pan sobie wyobrazi, chłopiec jest zakochany we mnie do utraty zmysłów, więc przez cały czas łązi mi po piętach. Ledwie się go pozbyłam. Czasami gdzieś tam, ciut powyżej przepony, zdarzają się dziwne doznania. Nie jest to ból, to jakiś niezrozumiały smutek.

I bardzo mili chłopcy wcale nie wydają się wtedy tacy mili, a całe ludzkie życie, jeśli się zastanowić...

- Dobra! - Masza zdecydowanie potrząsnęła włosami. Niech będzie, co ma być!... Tak więc potrzebna mi jest pomoc. Wypożyczy pan w bibliotece Błoka i Pasternaka. Wszystko, co jest.

Zrozumiał pan?

- Tak, i co dalej?

- Będzie pan czytał na głos.

- Po co?

- Och! - Masza potarła palcami skronie. - Ale egzemplarz mi się trafił! Pan będzie czytać, a ja zanotuję. Czyż to tak trudno zrozumieć?

- Nie, dlaczego - powiedział Klarnet - zrozumieć nie jest wcale trudno. Tylko ja niezbyt wyraźnie czytam.

- To mnie najmniej niepokoi. A więc jutro o tej samej porze.

Obraz zniknął. Dopiero co dziewczyna była tu, a teraz ekran był pusty, beznadziejnie pusty.

Skończyła się diabelska sztuczka, a wszystko, co po niej zostało, to małe czarne pudełeczko oraz nadpalony stół.

Kiedy wiele razy powtórzone w tych samych warunkach doświadczenie daje niezmienny rezultat, to są wszelkie podstawy, by uważać, że odkryte zależności podporządkowane są jakiemuś prawu.

Tak więc na przykład jeśli miłośnicy wczesnego chodzenia na rzęsach ustawiają się w długich kolejkach przed kioskiem w bezpłodnym oczekiwaniu na cysterne z piwem, jeśli budowlani nieustraszenie kopią rowy w wypielegnowanych gazonach obnażając sklerotyczny system krwionośny miasta, jeśli rankami do hałasu tramwaju pod oknem dołącza się sapanie drogowego walca, jeśli budząc się pod wpływem szczebiotu ptaków nie możecie dojść do tego, czy to noc, czy dzień, wiedźcie: na dworze jest czerwiec.

Jeśli na dworze jest czerwiec, a wy macie dwadzieścia sześć lat, jeśli co wieczór czytacie

dziewczynnie cudowne wiersze, jeśli... Zresztą, wystarczy!

I tak wszystko jasne.

Jakiś ohydny typ, ojciec literackich szampów, powiedział, że miłość nie zna granic. No i co z tego? Co innego nie znać granic, a co innego móc je pokonać lub, jak wyraziłby się filozof, doprowadzić do takiego rozwoju wydarzeń, by miłość do siebie przekształciła się w miłość dla siebie. Przecież, co by tam nie mówić, dwa tysiące lat...

Macie ochotę na jeszcze jedną wyświechtaną sentencję? Proszę! Nieszczęście przychodzi z tej strony, z której najmniej się go spodziewasz. Tym razem weszło ono przez drzwi w osobie dozorca, który pewnego wieczoru poprosił Klarneta, by bez chwili zwłoki zjawił się w administracji domu, gdzie czeka na niego komisja pojednawcza w pełnym składzie.

Skład, jak się okazało, nie był znów tak duży: dwóch ludzi, nie licząc znanego nam jui emeryta Budiłowa. Zobaczywszy Klarneta Budiłow wpadł w podniecenie i wyciągnął przed siebie prawą rękę, przez co natychmiast stał się zadziwiająco podobny do Cyclerona demaskującego Katylinę.

- Oto on, kochany! We własnej osobie! Przewodniczący komisji przyglądził siwe wąsy i wziął ze stołu kartkę zapisaną koślawymi literami.

- Tak... siadajcie, towarzyszu Klarnet. Klarnet usiadł.

- Dochodzą do nas sygnały, że używa pan nie zarejestrowanej radiostacji. Czy to prawda?

- Nie mam żadnej radiostacji - skłamał Klarnet.

- Ależ on kłamie! - patetycznie wykrzyknął Budiłow. Przecież sam słyszałem, jak nadaje! To otwartym, to zaszyfrowanym tekstem.

Przewodniczący spojrział pytająco na Klarneta. - To... ja czytam wiersze.

- Ale dlaczego na głos? - zdziwiła się inteligentnie wyglądająca kobieta.

- Tak się je lepiej zapamiętuje.

- Kłamie, kłamie! - żółdkował się sąsiad. - Niech w takim razie powie, co tam u siebie lutyje, dlaczego co chwila przepalają się korki?

- No, towarzyszu Klarnet?

- Nie lutyje niczego. Kiedy remontowałem telewizor, to lutowałem, ale teraz nie lutyje.

Przewodniczący chrząknął i znów przyglądał wąsy.

- Tak... A więc tylko czytacie wiersze?

- Tylko wiersze.

- Jakie będą postanowienia? - popatrzył na kobietę, ale ta tylko wzruszyła ramionami.

- Trzeba by rewizję zrobić - powiedział Budiłow. Z udziałem świadków.

- Do tego nie mamy prawa - skrzywił się przewodniczący. - A wy, towarzyszu Klarnet, weźcie pod uwagę to, że nikomu nie zabrania się robić telewizorów i radiodbiorników...

- I czytać wierszy - z kpina dodała kobieta.

- I czytać wierszy - przytaknął przewodniczący. - Ale jeżeli to rzeczywiście nadajnik radiowy... to zupełnie inna sprawa. Trzeba zarejestrować. Dla pana lepiej, a dla nas spokojniej.

Zgoda?

- Zgoda - westchnął - tylko że ja nie mam żadnego nadajnika.

Święte, nieudolne, niewymyślne kłamstwo! Ale co komu do słowa honoru nieopatrznie rzuconego w mglistą przyszłość? Nie, Klarnet, nie tobie mierzyć się z wrogiem ludzi - Budiłowem, który nie takie rzeczy widział. Żebyś nie wiadomo co robił, rozszyfruje cię, niezawodnie cię rozszyfruje! Czas się zastanowić, czym się to może skończyć.

- Masza! - Klarnet mówił szeptem trwożliwie spoglądając na drzwi. - Zrozum, Masza, ja tego po prostu nie przeżyję - Co więc proponujesz?

- Nie wiem. Weź mnie do siebie. Przecież na pewno są jakieś maszyny czasu.

- Nie ma takich maszyn - smutnie uśmiechnęła się Masza. - To bajki.

- Ale przecież przesłałaś mi nadajnik.

- To zupełnie inna sprawa. Transmutacja. Ale przecież ona jeszcze nie została u was odkryta.

Klarneta nagle olśniła myśl.

- Posłuchaj, a ty byś nie mogła?

- Co?

- Transmutować się do mnie.

- Och! Zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz?! Nie, to niemożliwe!

- Ale dlaczego?!

- Przecież powiedziałam, żadnych kontaktów z przeszłością. Nie wolno zmieniać historii.

Transmutacji w czasie dokonuje się u nas co najwyżej w granicach stulecia, i to ze wszystkimi ograniczeniami. A tu... przecież powrotu nie będzie. Zostać na zawsze nie wiadomo gdzie... -

Wiadomo! Będziesz ze mną!

Masza rozplakała się.

- No co ty, Maszeńka?!

- A ty mnie nigdy nie przestaniesz kochać? - zapytała wycierając nos w małą chusteczkę.

Wicie, co się odpowiada w podobnych wypadkach. W czerwcu wszystko odbywa się według raz na zawsze ustalonych praw. Oto nadciągnęła chmura, lunął deszcz, patrzysz, a tu po kilku minutach znów grzeje słońce.

- Nie mogę się przecież u was zjawić z takim wyglądem powiedziała Masza. - Zdobądź dla mnie kilka żurnali.

Czy zdarzyło się wam kiedyś obserwować kobietę studiującą fasony płaszczy? Takiego całkowitego oderwania się od marnego świata, takiego całkowitego pogrążenia się w nirwanie nie udało się osiągnąć żadnemu jodze. Nie próbujcie w tym czasie mówić do niej. Będzie kiwać głową, ale możecie być pewni, że nie dociera do niej ani jedno słowo.

- Odwróć kartkę!

- Posłuchaj, Masza... .

- To się nie nadaje, następna ! .

- Masza !

- Podnieś bliżej, chcę się przyjrzeć uczesaniu.

- Maszeńka !

- Daj następny żurnal.

Na wszystko należy patrzeć filozoficznie, gdyż cierpliwość bywa stokrotnie wynagradzana.

Klarnet przekonał się o tym już następnego dnia. - No, jak ci się podobam?

Zbaraniał. Poprzednio oszkalowałem mężczyzn stwierdzając, iż rzekomo nie są oni w stanie należycie ocenić kobiecego stroju. Wnieśmy. poprawkę: ocenić są w stanie, zapamiętać - nie. Ale tu miała miejsce tak zdumiewająca przemiana...

Po pierwsze, Klarnet stwierdził, że dama treflowa jego serca zamieniła się w karową. Zmienił się zresztą nie tylko kolor jej włosów. Widoczne przedtem czoło teraz przykryte było ufryzowaną grzywką, podczas gdy tył głowy ostrzyżony był na krótko.

Po drugie, zamiast jakiegoś luźnego stroju miała na sobie obcisły sweterek.

A po trzecie...

Po trzecie - spódniczkę mini.

Nie wiercie wróżbitom! Po to właśnie są wróżbitami, żeby kłamać. Nie, nigdy ludzie nie zamienią się w bezzębnych głowaczy o wątych kończynach, nie zamienią się, bez względu na to, co o tym myślą antropolodzy. Nie wiem, jak to wygląda gdzieś w Mgławicy Kraba, ale na Ziemi para wspaniałych nóg zawsze będzie wywoływać podniecenie podobne do tego, jakie odczuwamy, kiedy przeglądamy tabelę wygranych. Przyznajcie się, czy ktoś z was mimo znikomych szans nie marzył w duchu o głównej wygranej? Szczęśliwiec Klarnet. Nagroda ta dostała się jemu, jednemu z trylionów

ludzi, którzy urodzili się i umarli w ciągu tych dwóch tysiącleci.

- No jak?

- Coś wspaniałego!

- Teraz jestem gotowa.

Miłość nie jest tak nierozsądna, jak się zwykło mówić. Podświadomie czuje ona, że przestaną dzwonić weselne dzwony, pograży się w mroku pałac, przeminie pełna szczęścia noc i nadejdzie, jak się trafnie wyraził pewien poeta, błogosławiony dzień trosk.

Niektóre z tych trosk już wcześniej dały o sobie znać Klarnetowi.

- A propos, Maszeńka - powiedział niedbałym tonem nie zapomnij zabrać ze sobą dowód osobisty.

- Co?

- Dokument stwierdzający twoją tożsamość.

- Głuptasie! Jaki dokument może stwierdzić tożsamość? Ja to ja - z dumą obróciła się profilem - a dokument to papier. Wątpię, czy byłbyś zadowolony z takiej zamiany. Oto pierwsza niespodzianka, Klarnet! ;,Co to za obywatelka nocuje u was?"

"To - moja żona". "Jest zameldowana?". "Nie, widzi pan, ona zgubiła dowód osobisty". "W takim razie pozwoli pan, że zerknę na zaświadczenie o zagubieniu dokumentu?". "Wie pan, myśmy jeszcze nie zdążyli". "Poproszę więc o jakiś dokument stwierdzający tożsamość". "Ależ co pan?!

Człowiek jest niepowtarzalny, czyż więc jakiś papierek..." No tak...

- A dyplom?

- Jaki dyplom? - zdziwiła się Masza.

- Uczyłaś się gdzieś?

- Oczywiście!

- W takim razie zaświadczenie o ukończeniu.

- Nie rozumiem, o czym ty mówisz? - Masza wydeła usta. - Jeśli się rozmyśliłeś, to od razu powiedz, a nie... nie...

Straszna to rzecz kobiece łyzy. Do diabła z nimi, wszelkimi papierkami ! Cały ich worek niewart jest jednej maleńkiej łyżki. Pomyślałby kto, że to takie ważne - dyplom.

"Wydany w trzy tysiące dziewięćset jakimś tam roku" Tfu, przepadnij! Dobra, coś tam wymyślimy!

- Nie trzeba, Maszeńka! Źle mnie zrozumiałaś. Po prostu nasze czasy mają swoje osobliwości. Wyznaczmy dzień.

- A dlaczego nie jutro?

- Jutro? Hmm... jutro. Widzisz, ja muszę się trochę przygotować. Wziąć urlop i w ogóle...

- W takim razie kiedy?

- Zaraz zobaczymy - Klarnet wyjął z notesu kalendarz. Dziś mamy czwartek. A więc w sobotę. Sobotę dwudziestego dziewiątego czerwca. - Zakreślił czerwonym ołówkiem datę. - Zgadzasz się?

- Dobrze! Do tego czasu namówię Fiedię.

- Co ma z tym wspólnego Fiedia?

- Sama sobie nie poradzę. Przecież ja jestem tylko lingwistą, a tu trzeba tak ułożyć program transmutacji, żeby nie było niewypału.

No cóż, skoro Fiedia to Fiedia. Klarnetowi sprawiło to nawet satysfakcję.

- Potrzebne są mi jakieś punkty orientacyjne kontynuowała Masza - ale nie takie, jak ostatnim razem. Powinno to być odludne miejsce, gdzie nie ma pojazdów i pieszych, a poza tym wszystko musi odbyć się późnym wieczorem. Wiesz co; spotkamy się przy Miedzianym Jeźdźcu o jedenastej wieczorem.

- To on jeszcze u was stoi?

- A jakże! Umówiliśmy się?

- Umówiliśmy! - z radością powiedział Klarnet. - Przy Miedzianym Jeźdźcu o jedenastej wieczorem w sobotę dwudziestego dziewiątego czerwca. Nie zapomnisz?

- Takich rzeczy się nie zapomina. No, całuję!

Ten kto nigdy nie wychodził na spotkanie na długo przed ustaloną godziną, godny jest pożałowania. Prawdziwa miłość przeszła bowiem obok nie musnąwszy go nawet skrajem swych śnieżnobiałych szat.

...Zbliżała się ta godzina, w której biała noc oddaje bezbronne miasto we władzę czarom.

Po stygnącym asfalcie sunęły na sabat młode wiedźmy w krótkich niemowlęcych koszulkach. W podsieniach pląsały konające ze zmęczenia diablęta z zawieszonymi na piersiach odbiornikami tranzystorowymi: stary łobuz ze zsuniętym do tyłu beretem na głowie, pod którym odgadywało się eleganckie różki, utykając na lewe kopyto dźwigał ciężki magnetofon. Zgięta jędra z kosturem niosła pod pachą na pół wypatroszonego koguta w kolorowym plastikowym woreczku.

Marcepanowe rostralne kolumny podpierały białoróżową marmoladę nieba, parowiec z cukru ciął landrynkową gładź Newy pozostawiając za rufą spieniony strumień szampana. Nad dachami wieczorna bryza gnała na stracenie puszyste jagnięta, zaś wypucowany do połysku gmach Admiralicji skrzył się w promieniach zachodzącego słońca. A tam gdzie odurzające zapachy wlewały się do rzeki z szyjki placu Senackiego, majaczyła ogromna etykieta wódki z Miedzianym Jeźdźcem na stojącym dęba koniu. Wszystko przygotowywało się do uczty weselnej. Klarnet szedł po dywanie topolowego puchu, a na jedwabnych poduszkach klombów rozchyłały dlań swe listki fiołki, ufne jak oczy ukochanej.

Przeczuwam Cię. Lata płyną

Wciąż w tej samej postaci przeczuwam Cię.

Gruntowne zapoznanie się z twórczością Błoka wyszło na dobre memu bohaterowi.

...Ten kto nie wystawał na miejscu spotkania dłużej, niż powinien, nie wie, co to takiego męki miłości. Okłamała... Nie ma gorszego słowa na świecie.

Smutno jest deszczowym rankiem w Leningradzie, och, jak smutno! Wszystko wydaje się obrzydliwe: i wyszczerzone zęby konia, i szydercze krzyki mew, i zgarbione sylwetki przechodniów, i plujący czarnym dymem holownik wlokący za sobą brudną barkę, i pokryta krostą deszczu rzeka, i podobne do świeżych mogił klomby z niedbale posadzonymi kwiatami, i głupie pnie drzew, na których siedzą goli mężczyźni z idiotycznymi wiosłami.

Przykro jest z pustką w duszy wracać samotnie do mieszkania, gdzie czeka kolacja na dwie osoby i więdną już nikomu niepotrzebne róże - ach, jak przykro!

Handlarzu! W twoich rękach sekret zapomnienia, nalej mi z tej beczki duży kufel wina! Ach, jeszcze nie sprzedajecie? Proszę mi wybaczyć, wiecznie myślę epoki.

...Ile razy można naciskać klawisz wywołania? No, dzięki bogu! Na ekranie pojawiła się młodzieńcza twarz okolona włosami.

- No? - zapytał popatrzawszy nieprzyjaźnie na Klarneta. Najwidoczniej był to Fiedia.

- Gdzie Masza ?

- Pan powinien lepiej wiedzieć.

- Ona nie przybyła.

- Niemożliwe - zachmurzył się chłopak. - Sam układałem program. Maksymalny rozrzut w czasie nie powinien przekraczać pięciu minut.

- Mimo to nie ma jej. Czekałem dziesięć godzin. Fiedia podrapał się po potylicy.

- Zaraz sprawdzę. Jaki wczoraj u was był dzień?

- Sobota dwudziestego dziewiątego czerwca, niech pan patrzy! - Klarnet podniósł ku ekranowi kalendarz, na którym czerwonym ołówkiem zaznaczona była upragniona data.

- A rok?

- Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty dziewiąty. Fiedia wetknął nos w jakieś notatki. Kiedy w końcu podniósł głowę, jego twarz była wykrzywiona.

- Idiota! - powiedział cicho i złowieszczo. - Przegapił swoje szczęście, zakuty łeb! Sobota dwudziestego dziewiątego czerwca! Szukaj jej teraz we wczorajszym dniu. Rozumiesz? Każdego dnia we wczorajszym.

Obraz zniknął.

Klarnet z roztargnieniem zerknął na tekturowy prostokąt, który wciąż jeszcze obracał w rękach, i zdrętwiał. To był zeszłoroczny kalendarz!

Odtąd co wieczór można zobaczyć w Leningradzie brodatego, niedbale ubranego człowieka, który wpatruje się z uwagą w twarze napotkanych kobiet. Idzie zawsze tą samą drogą, obok Giełdy na Wasiliewskiej Wyspie, przez Pałacowy Most, wzdłuż fasady Admiralicji, i wychodzi pod pomnik. Tam stoi przez jakiś czas, a potem wraca tą samą trasą. Rankami, kiedy się budzi, wydaje mu się, że wczoraj tu była. Nie, nie wydaje się mu. Pamięta jej pocałunki, poza tym są dziesiątki rzeczy świadczące o tym, że to nie sen. I tak jest każdego ranka. Płacze, a łzy kapią do szklanki z herbatą, którą wypija śpiesząc się do pracy.

Niekiedy widuje się go w towarzystwie zachmurzonego człowieka w podeszłym wieku.

- Rozumiesz, Budiłow - mówi - człowiek nie może żyć wczorajszym dniem. Nie można być sytym po obiedzie, który zjadło się dzień wcześniej. Jaki pożytek z tego, że całowała cię wczoraj?

Człowiek potrzebuje wszystkiego dziś. Zrozumiałeś?

- Dobra, chodźmy do domu, marzycielu. Uważaj, nie potknij się!

Budiłow bierze go pod rękę i prowadzi, podczas gdy mężczyzna płaczącym się językiem mamrocze wiersze:

Noc, rów, apteka, światło błyska,

Wyblakły bezsensowny świat,

I choćbyś dożył do stu lat

Jak było, pozostanie wszystko.

I wtedy Budiłowowi nie wiadomo czemu też chce się płakać.